

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ, 8 maja 1960 r.

Nr 18 (114)

Cena 1 zł

POLITECHNICE ŁÓDZKIEJ
NA PIĘTNASTOLECIE
serdeczne życzenia składa
REDAKCJA

Rzeczpospolita POLITECH- NICZNA

Politechnika — największa w Łodzi wyższa uczelnia.

Wyglądem przypomina wyodrębnione miasto, ze swoimi granicami, własną gospodarką i blisko 5-tyśięczną „ludnością“.

Kształtem wewnętrznym — skomplikowany do maksimum mechanizm produkcyjny, którego rytm pracy z trudnością poddaje się nawet najbardziej precyzyjnym próbom analizy,

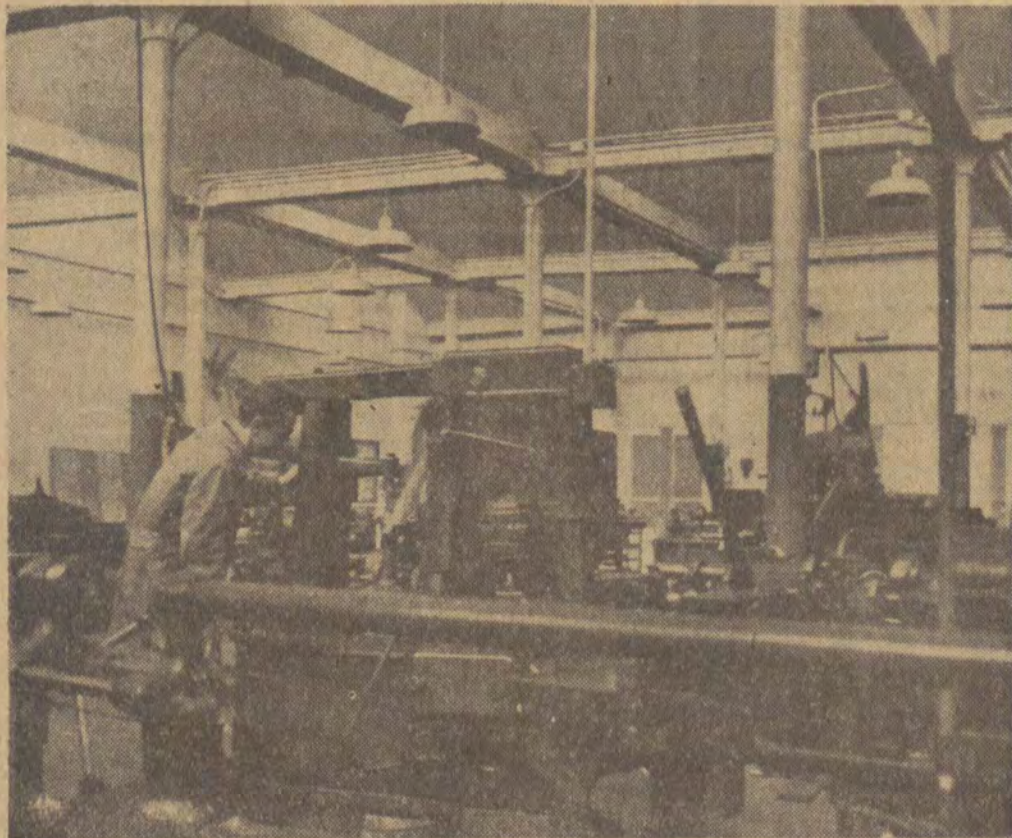
Na obszarze siedmiu hektarów powierzchni rozsiadły się kompleksy gmachów, mieszczące 6 wydziałów uczelni, dziesiątki laboratoriów naukowych, sale wykładowe dla 3,5 tys. studentów, magazyny, warsztaty naprawcze, mieszkania profesorów, stołówki, urządzenia sportowe i wiele jeszcze innych komórek, niezbędnych dla sprawnego funkcjonowania tego organizmu.

Po przekroczeniu bram uczelni przybysza z ruchliwych ulic miasta uderza natychmiast panująca tu at-

mosfera, w której pod pozorem ciszy i spokoju kryje się pośpieszny rytm codziennej pracy.

Sylwetka naukowca, zamysł nad wynikami badań, kontrastuje z rozgwarem studenterii. Uwaga skupiona do maksimum w czasie skomplikowanego wykładu, ustępuje za chwilę miejsca przedegzaminacyjnej gorączce. Po długich godzinach napiętego oczekiwania na rezultat przeprowadzonej w laboratorium pró-

(Dalszy ciąg na str. 6)



Laboratorium Katedry Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem P. Ł.
fot. L. Clejniczak



MAREK WAWRZKIEWICZ

CZY KRYZYS KSIĄŻKI

8 wywiadów i 1 autowywiad na Dni Książki

ODPOWIADA
PROF. DR PL
IAN
WERNER



Przeprowadziłem wiele rozmów z ludźmi różnych wieków, różno wieku i wykształcenia. Wybrałem z nich 8 najbardziej według mnie charakterystycznych. Zadawałem moim rozmów-

com różne pytania: dotyczące ich upodobań czytelniczych i dotyczące roli książki w ich życiu codziennym i pracy zawodowej. Oto rezultaty tych rozmów.

— Panie Profesorze, co sądzi Pan o tak bardzo eksploatowanym przez publicystów temacie dehumanizacji młodzieży politechnicznej?

— Wydaje mi się że mamy tu zjawisko dwojakie. Z jednej strony dehumanizacja młodzieży politechnicznej, z drugiej detechnizacja młodzieży uniwersyteckiej. Mamy słuszne chyba pretensje w związku z tym. Politechnik nie czytający, nie interesujący się życiem kulturalnym uznawany jest za półinteligenta, a humanista najczęściej nie ma nawet podstawowej wiedzy technicznej. Wśród młodzieży studiującej na Politechnice dość częstymi są wypadki zainteresowania się sztuką. Tym niemniej można mówić ogólnie o dehumanizacji. Ma ona chyba jakiś podkład historyczny. W naszych dziejach, szczególnie w ostatnim okresie, ciągle zachodziła rozbieżność między pięknymi hasłami literackimi, a realnymi możliwościami narodu, możliwościami mającymi swą podstawę w bazie technicznej. Innym czynnikiem wpływającym na dehumanizację jest system studiów — nie tylko na Politechnice. Studia są tylko fachowe.

— Jaka jest szczególna rola książki technicznej dla politechnika?

— Książka techniczna nie jest przeważnie źródłem mądrości. Jest pewnym odciążeniem pamięci, zawiera zbiór wiadomości fachowych — jest niesłychanie potrzebna. Nie jest jednak

podstawą studiów politechnicznych. Tą podstawą są laboratoria — pokaz i doświadczenia kształcą technika.

— Jak przedstawia się Panie Profesorze Pańskie osobiste „życie z książką“?

— Niewiele mam czasu na czytanie, mimo to czytam bardzo dużo. Staram się zawsze „utrzymać w kursie“. Ostatnio czytam takich autorów jak Steinbeck, Marshall. Z zasady nie czytam wspomnień o wojnie — wiąże się to z moimi osobistymi przeżyciami — choć oczywiście uznaję potrzebę istnienia tego rodzaju literatury dla młodego pokolenia. Z literatury współczesnej cenię najbardziej Pruszyńskiego — czytam również chętnie Andrejewskiego. W ogóle czytam to co jest w domu, co czyta córka i żona, która jest moim przewodnikiem po książkach. Z klasyków wracam do Prusa, do Sienkiewicza. Prawie co roku czytam od nowa „Trylogię“.

ODPOWIADA
MARIAN
SZMIDT,
KELNER
Z
RESTAURACJI
„ARTYSTYCZNA“



— Czytam w tej chwili niewiele. To jest uzależnione od ciężkiej i zabierającej wiele czasu pracy. Więcej czytałem w młodości. Jeśli mam wybierać między kinem, telewizją, teatrem i książką, to wybieram książkę.

— Jakich autorów lubi Pan najbardziej?

— Bardzo lubię Prusa, Orzeszkową, Sienkiewicza-



Patrz str. 2

Ekspонат historyczny był pokazywany nawet w kronice filmowej, mianowicie: „Kozia biała“. Znalaziona 13. 2. 1955 w okolicy Placu Kościelnego.

Czytaj na str. 2 i 3



„Trylogię“ czytałem wiele razy. Często dla rozrywki, dla oddechu, czytam Makuszyńskiego.

— A z pisarzy współczesnych?

— Ostatnio czytałem wiersze Tuwima. Bardzo mi się podobały.

— Co Pan sądzi o „Zaklętych rewirach“ Worcella?

— Uważam, że to jest książka więcej niż prawdziwa. Nasza praca tak właśnie wygląda. Myśmy tę książkę bardzo przeżywał.

ODPOWIADA
MARIAN
BOCHENSKI —
TAKSÓWKA
NR 100



— Ja bardzo dużo czytam. Częściowo jest to związane z rodzajem pracy. Czekać na postój mam zawsze książkę. Bardzo lubię kryminały (najlepsze pisze Agata Christie) i książki podróżnicze — podoba mi się Ossendowski. Chodzę i do kina, i do teatru. Na telewizję mniej, jeszcze u nas telewizja nie jest najlepsza.

— Jakich autorów lubi Pan z naszych klasyków?

(Dokończenie na str. 10)

przedmioty i ludzie przedmioty i ludzie przedmioty i ...

(Dokończenie ze str. 2)

raźniej ktoś wymościł sobie odpowiednie leże zimowe. Tylko w jakim celu, z jakiego powodu?

Przytoczone powyżej wypadki mają sens raczej anegdotalny, mało ważny z „poznawczego” punktu widzenia.

Ale w masie przedmiotów nagromadzonych w tej pozornie przypadkowej rekwiizytorni, jak w krzywym zwierciadle zatamują się także pewne istotne społeczne cechy zyskujące w ten sposób karykaturalne lecz jakże wymowne odbicie.

my ponadto pod uwagę, że zapewne znikoma tylko część tego rodzaju znalezisk dociera do biura. Większość staje się łupem przypadkowych znalazców. Oto mamy skromny lecz wymowny przyczynek do sprawy stosunku ludzi do powierzonych im mienia społecznego.

Wypada także zapytać jaka ilość z owych „transportowych” zgub była zamierzona i tylko przez zbieg okoliczności nie dostała się do rąk „adresatów”. Dotykamy tu nowego zagadnienia, któremu za świadectwo służą również „złoże” skór surowych odkryte na śmietni-

niestety nie można odnaleźć właściciela.

W depozycie pozostają przedmioty, które oskarżają — zarówno złodzieja jak i byłego prawowitego posiadacza...

Oczywiście licniejszą ilościowo grupę stanowią

ZGUBY „PRYWATNE”

Nietrudno na ich podstawie stwierdzić, że znacznie więcej przedmiotów osobistych gubią mężczyźni. Pod czas gdy u kobiet lista zgub tego rodzaju wyczerpuje się na parasolce, torbie i rękawiczkach, u mężczyzn niezrządka zuba jest płaszcz,

Większość odnalezionych dokumentów znajduje się w pożałowania godnym stanie. Kto rzuci okiem na te poszarpane, powiązane sznurkami legitymacje, wyrobi sobie z miejsca sąd o ich właścicielach, zastanowi się również nad sprawą dewaluacji wartości dokumentu osobistego.

Wiele daje do myślenia także stosunkowo duża ilość tego rodzaju zgub. Tu sprawa nie wygląda jednak tak prosto. Weźmy tylko pod uwagę fakt następujący: jedynie nieliczne dokumenty lub portfele z dokumentami znalazły odnośną osobę.



CO ZGUBIŁEŚ?...



CO SPADA Z AUTA

Widomo, że przemysł i handel używają często ciężarów dla transportu towarów. Wiadomo, że zwykły transport pilnuje konwojent, nierzadko nawet z dodanym dla dostojęstwa karabinem.

A w efekcie? Oto kilka kwiatków z tej łączki:

W magazynie biura już blisko rok stoją trzy olbrzymie beły tkaniny dekoracyjnej, znalezione na szosie w rejonie Zgierza. Zaden zakład produkcyjny dotychczas nie zgłosił zguby.

kach, porzucone pod płotami rolki papy czy pily pilśniowe, nowiutka maszynowa do liczenia, która zawędrowała na klatkę schodową posesji mieszkalnej, sztuka gabardyny długości 15,70 m znaleziona w Parku Kolejowym itp. To nie innego, tylko dowody zwyczajnego szabru, a raczej wyjątkowo „spłoszonych” okazji tego rodzaju. Dalej z regularny sytuacja rozwija się paradoksalnie: skradziony przedmiot odnalazł się, tylko

sweter, szalik, nie mówiąc już o teczkach czy kapeluszach. Natomiast w ciągu 12 lat istnienia biura nie zdarzyło się, by ktoś przyniósł kapelusz damski.

Również rzecz biorąc statystycznie, znacznie większy jest nie tylko dobór ale i ilość zgub „męskich”. Takie spostrzeżenie podważa w dużym stopniu zakorzeniony sąd o rzekomo typowym dla kobiet roztargnieniu.

Poza obserwacjami typu „charakterologicznego” biuro dostarcza także w kategorii „prywatnej” wiele spostrzeżeń, które łatwo umiejscowić w rozległym tle społecznym.

Przyjrzyjmy się bliżej sprawie zagubionych dokumentów osobistych. Pod względem ilości „znalezisk” te biją wszelkie inne. O ile na przykład w ciągu ubiegłych sześciu lat napłynęło do biura 4883 różnych przedmiotów (poza dokumentami), to samych dokumentów przez jeden tylko rok 1959 otrzymano aż 2612. Stosunek więc dostarczonych dokumentów do innych przedmiotów wynosi 3:1.

Pod datą 13. 12. 1956	napłynęło:	kolibra
probelinowa.	Miejsce	„restauracja”.
znalezienia:		

Na kolejnych 1000 przypadków w okresie od 2.I. do 20.VI. ub. roku zdarzyło się się to tylko 26 razy. Wszystkie pozostałe zguby napłynęły pocztą, odnalazły się bowiem w skrzynkach na listy, skąd je następnie wyjęto. Pomijając mało znaczące wypadki, gdy komuś

Srebrne łańcuch najprawdopodobniej wyszły z wody — dotychczas wójt nie odebrał dwóch kobiecych futrzanych odniezionych w lutym przez taksówkarza.

nie chce się osobiście fatygować do biura, wskazuje to na najczęstsze źródło „zagubienia” dokumentów — mianowicie kradzieże kieszonkowe. Przy czym znowu musimy zaznaczyć, że statystyka biura jest w stanie „zarejestrować” wyłącznie kategorię „uczciwych złodziei”, którzy po spenetrowaniu portfela solidnie zwracają dokumenty. Mało to pocieszająca statystyka...

Do ciekawych wniosków prowadzi również analiza zgub pieniężnych. Jeżeli raz jeszcze sięgnąć do dokumentów biura z okresu sześciu lat wstecz, stwierdzimy, że suma odniesionych przez znalazców pieniędzy wynosi 39 506 złotych. Z tego 14944 nigdy nie zostało odebrane przez właścicieli i przeszło na rzecz skarbu państwa, 14982 zwrócono właścicielom, natomiast 9580 pozostaje dotychczas w depozycie (ponieważ od momentu znalezienia nie upłynął jeszcze rok).

Obie rubryki — „odebrane” i „nieodebrane” są niemal równe. Zbieżność to jednak tylko pozorna. Bowiem na rubrykę pierwszą składa się blisko 100 pozycji, na drugą zaś — tylko 50. Tak więc przeciętna kwota nieodebrana wynosi około 150 złotych, przeciętna kwota odebrana — około 300 złotych.

Podkreślam to zjawisko tak dalece dokładnie z dwóch powodów.

Po pierwsze — znaczna przewaga ilości zgub nieodebranych dowodzi, że ludzie na ogół nie wierzą w możliwość odzyskania zgubionych pieniędzy, co jest symptomem dewaluacji pojęcia uczciwości.

Po drugie — fakt, że z zasady nikt nie stara się odzyskać sumy poniżej 150 złotych, jest wykładnikiem stopnia zamożności przeciętnego obywatela, dla którego strata stułotowa jest z reguły stratą niezauważalną.

Pragnę zauważyć, że pier-

Znalezione przedmioty najczęściej nadają milicja, następnie policja i taksówkarze, zaś dopiero na ostatnim miejscu figurują znalazcy „prywatni”.

Ich sposobie bycia, etyce i dyscyplinie społecznej.

Łódzkie biuro rzeczy znalezionych a dokładniej odpowiedni referat Prezydium RN m. Łodzi istnieje nieprzerwanie od 1948 roku. Jest to wzorowa placówka na skalę krajową. Obsługa biura stanowią dwie pracownice, które znają „na pamięć” każdy ze zdeponowanych przedmiotów.

Mozolna grzebanina wśród „ekspozatów” i rejestrów owego swobodnego muzeum, dokonywana przy wydatnej współpracy obu pań, przyniosła w efekcie nakreślone powyżej obserwacje.

„Powiedz mi co zgubiłeś, a powiem ci kim jesteś” — oto zasada przyjęta przez nas na wstępie. Postanowiliśmy oddać głos martwym, pozornie anonimowym przedmiotom. Nie psujmy siły tej wymowy dodatkowymi komentarzami.

TEKST:

Andrzej Borkowski

ZDJĘCIA:

Leon Olejniczak

Oto zguby z rzędu raczej charakterystycznych, figurujące w magazynie: 40 kg ośpaw, 50 kg żyta 50 kg kaszy tatarskiej.

W roku 1956 na szosie warszawskiej znaleziono między innymi: sztukę materiału wełnianego długości ponad 20 m, 2 worki z zawartością 35 kg runa wełnianego, wór z dzianina bawełnianą wagi 18 kg.

Fewien konwojent pozostający w stanie błogiego snu zgubił w centrum Łodzi rower ze „strzeżonego” przez siebie transportu. Kiedy indziej na ul. Żeromskiego znaleziono taką ilość szarej flaneli, że mogłaby się w nią przyodziać niejedna rodzina.

Zacytowałem niektóre tylko przykłady z tej serii. Wez-



9. 4. 1959 słoneczko prawdopodobnie przeważało mocno. Na rzelnicy LPZ przy Dworcu Kaliskim tego dnia pozostawiono: jesiotkę 4 koszule kolorowe, 2 koszule białe, 2 marynarki, 1 spodnie, 1 półbuty.

A wszystko zaczęło się 6 maja roku pańskiego 1626, kiedy Peter Minuit, dyrektor generalny Nowych Niderlandów (tak Holendrzy nazywali wtedy kolonię amerykańską) kupił od Indian wyspę Manhattan płacąc w naturze nie więcej niż 24 dolary. Kiedy osiedle miało 200 mieszkańców nazwano je Nowym Amsterdamem. W 1635 roku otoczono nowo powstały fort murem (po angielsku wall) i stąd się wzięła dziś sławna ulica bankierów Wall-Street. We wrześniu 1604 roku New Amsterdam został zajęty przez Anglików, którzy nadali mu nazwę New York na cześć księcia Yorku, brata króla Anglii Karola II.

Kilkaset lat minęło od pamiętnej transakcji. New York rozrósł się do kilkunastomilionowego miasta, Manhattan, gdzie mieści się centrum miasta, kupiono za 24 dolary, a dziś wartość samych budowli na tym terenie ocenia się na sumę 24 miliardów dolarów. Mimo długoletniej tradycji handlowej USA, do dziś dnia kupno Manhattanu zalicza się do najszerszych transakcji, jakie kiedykolwiek zawarto w dziejach kontynentu amerykańskiego.

Przybyłem do Nowego Jorku wiedziony palącą ciekawością obejrzenia tego niezwykłego miasta. Wszystko przecież jest tu naj... naj... największe, najniższe, najkrótsze itd. Byłem przygotowany na wszystko. Wynik: wrażenia bardzo różne, prze mieszanie rzeczy dobrych i złych, czystych i brudnych ulic, ludzi uczciwych i gangsterów. Jak każdy przybysz najpierw zetknąłem się z komunikacją miejską. Ponieważ problem ten nie jest nam obcy, warto więc powiedzieć, jak radzą sobie z tym „fantem” Amerykanie.

Przede wszystkim musimy pamiętać, że Broadway to nie Piotrkowska. Mała różnica w długości, bagatela — jakieś dwadzieścia kilka kilometrów. A więc dostać się z jednego końca Broadway'u na drugi, to nie to samo co przejechać Piotrkowską z Placu Wolności na Plac Niepodległości.

Nowy Jork ma następujące środki komunikacji miejskiej: subway (tak nazywa się tutaj metro), autobusy i taksówki. A więc nie ma tramwajów. Na próżno ehadzitem szukając również kolejki nadziemnej. Spóźniłem się o kilka lat. Ze względu na wygląd miasta, hałas i inne praktyczno-ekonomiczne względy remontowano kolejkę nad ziemią.

Najważniejszą rolę odgrywa oczywiście subway. W Nowym Jorku jest kilka linii np. B. M. T. Independent itd. Miasto jest wąskie, ale długie. Linie biegną z północnej — górnej części miasta (tzw. Uptown) do dolnej — południowej (tzw. Downtown) i odwrotnie. Oczywiście jednym pocią-

giem nie można dojechać wszędzie, ale do (90) są przesiadki.

Pociągi są dwójakiego rodzaju: tzw. local i express. Lokalne zatrzymują się na każdej stacji, express zatrzymuje się tylko na niektórych. Przystanki rozłożono co kilka bloków, czyli powiedzmy po polsku co kilka ulic. Niektóre stacje mają kilka poziomów np. Times Square w centrum Nowego Jorku. Stacja metra jest tak skomplikowana, że znaleźć właściwego poziomu i właściwej linii jest bardzo trudne, nawet dla... policjanta.

W subwa'u nie ma konduktorów. Na każdej stacji-przystanku jest okienko, gdzie kupuje się żeton tzw. token. Token kosztuje 15 centów i ważny jest na jednorazowy przejazd. Chcąc dostać się na peron, należy wrzucić żeton do automatu, następnie wejść między — powiedzmy ogólnie — skrzydła wiatraczka. Po pchnięciu skrzydła do przodu otwiera się przejście na peron. W międzyczasie drugie skrzydło zamyka z tyłu przejście. Przestrzeń między skrzydłami jest taka, że wystarcza na przejście tylko jednej osoby. W tej sytuacji naturalnie nie potrzeba ani biletów ani konduktorów.

Znam metra Berlina, Paryża, Londynu. Metro nowojorskie jest brudne, hałaśliwe ale bardzo szybkie. Najgorsza jest atmosfera



Południowy Manhattan składa się głównie z drapaczy chmur. Są to w olbrzymiej większości biura różnych organizacji przemysłowych i firm bankowo-ubezpieczeniowych

drzwi, kiedy nadejdzie właściwa stacja. Jedynym ożywieniem jest tu szum pędzącego pociągu i okropnie niewyraźny głos maszynisty zapowiadającego przez mikrofon następną stację (tylko w pociągach expressowych).

W Nowym Jorku znajduje się 747 mil torów metra (1 mila = ok. 1,6 km) oraz 557 mil linii autobusowych. W ciągu ostatniego roku środki transportu miejskiego

fer. Wchodzi się przodem, i wrzuca do automatu 15 centów. Jeżeli ktoś ma grubsze pieniądze to mu szofer rozmienia, on też wydaje bilety osobom, które chcą korzystać z przesiadki. Płaci się wtedy dodatkowo 3 centy. Kto jedzie bez przesiadki, nie dostaje biletu. Jak zdążyłem zaobserwować, szofer doskonale daje sobie radę z tymi podwójnymi obowiązkami.

Pasażerowie odznaczają

taksówki są tańsze, nie posiadają liczników, a pasażer płaci w zależności od ilości przejechanych stref. W Stanach Zjednoczonych istnieje bardzo przestrzegany zwyczaj dawania szoferowi napiwku, czyli tzw. „tip”. Na ogół daje się od 10 do 15 proc. nigdy jednak mniej niż ćwierć dolara.

Powiecie zapewne, że nowojorczyści są zadowoleni ze swojej komunikacji. Gdzieś tam, kilkanaście tygodni obijałem się po tym mieście i nie zdarzyło mi się znaleźć entuzjasty komunikacji. Nawet władze miejskie nie są zadowolone. W ostatnim roku środki komunikacji miejskiej przyniosły 11.097.309,12 dolarów deficytu. Władze wyciągają z tego logiczny wniosek — trzeba podnieść ceny biletów. Pasażerowie logicznie protestują. Wynik: nie ma zadowolonych.

Nawet posiadacze samochodów prywatnych nie są zadowoleni, ponieważ... nie ma miejsca na parkowanie. Wątpliwa to przyjemność, gdy można zaparkować samochód na kilometr przed miejscem swego zamieszkania. A nawet gdy się już znalazło miejsce na parking,

to za kilka godzin trzeba usunąć stamtąd samochód, bo przepisy zabraniają dłuższego parkowania na ulicy.

Mandat za przekroczenie czasu parkowania jest dość drogi — 10 dolarów.

Parking ma również pewien związek z obrotami handlowymi. Jak wykazały statystyki, w ciągu 10 lat 1948—58 ogólna wartość obrotów handlowych w centrum Nowego Jorku spadła o 8,7 proc. Nowojorczyści bucssinesmani podnieśli krzyk, Okazało się, że wielkie sklepy w rejonach podmiejskich w tym samym czasie zwiększyły swoje obroty. Przyczyna? Rejony zamiejskie mają więcej placów i gwarantują klientom bezpłatny parking w czasie zakupów. Aby business nie wymykał się poza miasto, ojcowie Nowego Jorku postanowili wybudować w najbliższym czasie koszt 52 i pół miliona dolarów olbrzymie garaże na 10 tysięcy samochodów. Według oceny komisarzy ruchu miasta Nowy Jork, Mr T. Wileya budowa garaży zwiększy obroty handlowe kupców nowojorskich o 100 tysięcy dolarów rocznie.

Moje odkrycie Ameryki

LONGIN PASTUSIAK

NEW YORK CITY

wśród pasażerów, atmosfera grobowego nastroju i kamiennej obojętności. Jeżeli zdarzy się wam jechać do Stanów Zjednoczonych, na Allaha, nie zaczynajcie wizyty od Nowego Jorku. A gdy tego nie będzie można uniknąć, to przynajmniej nie zaczynajcie zwiedzania miasta od przejażdżki metrem.

Amerykanie są wszędzie bardzo gościnni i sympatyczni ale z wyjątkiem Nowego Jorku Tempo życia jest tu szalone. Wszyscy spieszą się gdzieś broń Boże nie pytajcie kogo o coś, bo odpowiedź którą usłyszycie będzie zwykle brzmiała: — I don't know (nie wiem). Kamienne twarze pasażerów metra zachęcają gościa do powrotu tam skąd przybył.

W metrze nikt z nikim nie rozmawia. W pewnym tylko momencie ktoś robi błyskawiczny ruch w kierunku

przewoźnicy codziennie 4.746.596 pasażerów, z tego samo tylko metro przewiozło 3.614.952 osoby. Należy tu dodać, że prywatne środki lokomocji przewożą dziennie około 1 miliona pasażerów.

Subway jest wygodny o tyle, że szybki, co przy nowojorskich odległościach stanowi atut poważny. Ma on jednak zasadniczą wadę — nie wszędzie dociera. Tu w sukurs przychodzi autobus.

Jeszcze przed przybyciem do Stanów Zjednoczonych mówiono mi o „Green Line Bus” — o zielonych autobusach nowojorskich. Linie autobusowe są na wszystkich alejach i ważniejszych ulicach. Na ogół bywa tak, że jedna linia obsługuje i określone ulicę lub aleję. Chcąc dostać się na inną ulicę trzeba korzystać z biletu przesiadkowego. Autobus w Nowym Jorku nie ma konduktora, Zastępuje go szo-

się zdyscyplinowaniem. Wchodzi tylko przodem i posuwają się ku tyłowi do wyjścia. Jeżeli ktoś chce wysiąść, pociąga za sznurek, dając szoferowi sygnał, że ma zatrzymać się na najbliższym przystanku. „Wingron” oczywiście nie spotkasz, ale to tylko dlatego, że drzwi są pneumatyczne i nie ma czego się czeplić. Tok jest okropny i niczym nie ustępuje naszemu w godzinach największego napięcia. Jest tylko różnica w „działaniu” tłumy. Nowojorczyści mimo przyzwyczajenia do pośpiechu nie pchają się na siłę, cierpliwie czekając na następny autobus. Autobusy podobnie jak subway kursują co kilka minut.

U nas przyjęło się twierdzić, że taksówki to najdoskonalszy środek lokomocji. W Nowym Jorku to twierdzenie traci co najmniej połowę wartości. Ruch uliczny jest tu tak duży, że taksówka traci główną zaletę — szybkość, zachowując możliwość dotarcia do każdego miejsca. „Traffic jam” czyli korki komunikacyjne są tak częste, że dosłownie proszę mi wierzyć, szybciej idzie się na własnych nogach.

Taksówek prawdziwe zastrzeżenie — 11.778, kierowanych sprawnymi rękoma 38.424 szoferów. Pomimo dużej ilości innych samochodów, taksówkę łatwo odróżnić po kolorze karoserii. Ogromna większość taksówek pomalowana jest na krzyżące kolory złoty, żółty, lub czerwony. Na dachu — świetlna tabliczka z napisem: „Taxi”. Jeżeli tabliczka pali się, to znaczy wóz jest wolny. Nowojorczyści nie znają postojów. Taksówki znajdują się w ciągłym ruchu bez przerwy szukając pasażerów.

Taksówki nowojorskie mają tylko jedną wadę: są bardzo drogie. Zaledwie pasażer wsiedzie, szofer przekręca licznik i... już wyskakuje pół dolara, a następnie w szybkim tempie po 10 centów. W Waszyngtonie

JERZY DAGOBERT

SŁUGA DWÓCH PANÓW

W historii działalności wywiadów wojskowych minionej wojny można znaleźć szereg przykładów współpracy agentów z kilkoma państwami jednocześnie. Znałe są wypadki sprzedaży wiadomości hitlerowcom przez ludzi z angielskiego, francuskiego lub amerykańskiego „ludzi bez twarzy” notuje nieliczne postacie, którym udało się zaskarbić zaufanie jednocześnie u kilku najwyższych stojących organizatorów wywiadów tej miary, co Canaris w Niemczech i Hoover w USA.

Do tych agentów, których szkolili powyżsi dwaj „szefowie” — Canaris i Hoover, należał niejaki William Sebold, rodowity Niemiec, późniejszy emigrant do USA, gdzie wiele lat pracował w fabrykach samolotów. Cała historia działalności tego westfalszycy zaczęła się pewnego wiosennego dnia, krótko przed wojną.

Sebold przyjechał na urlop do matki, mieszkającej koło Hamburga. W porcie, po zejściu ze statku podeszło doń kilku gestapowców, prosiąc o zajęcie miejsca w samochodzie. Pracownik przemysłu lotniczego i przy tym narodowości niemieckiej! Czy to nie idealny materiał na szpiega?

Po wielogodzinnym prze-

śluchaniu, Williama puszczono do matki, lecz z chwilą wyjazdu znowu zainteresowało się nim Gestapo.

— Bedziemy pana uczyli. Zostanie pan członkiem niemieckiej służby wywiadowczej — usłyszał tym razem.

— W żadnym wypadku — bronił się Sebold.

— Nie wróci pan więcej do USA — zareplikowano.

— Tak, lecz mnie polityka nie interesuje — próbował tłumaczyć się wystraszony William.

— Niech pan pomyśli o swej starej matce. Przecież może jej przytrafić się coś złego — usłyszał z uśmiechem gestapowiec.

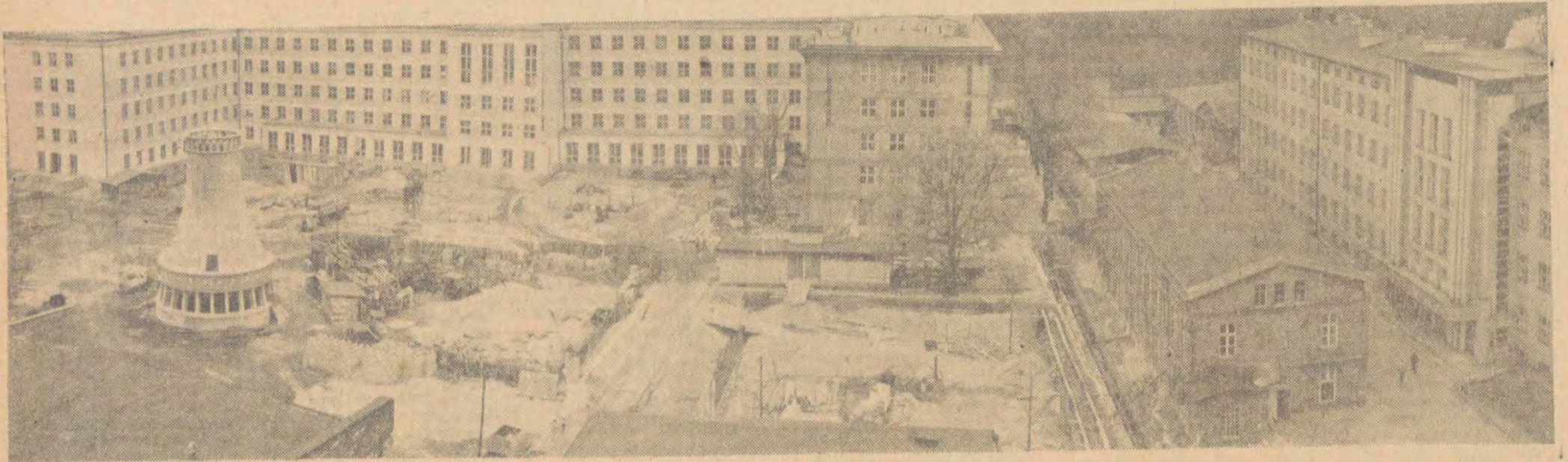
— Taka mniej więcej rozmowa zakończyła się zgodą Sebolda, lecz mimo wszystko był on lojalnym Amerykaninem. Dlatego też wyjechał do Kolonii, gdzie w tajemnicy udał się do konsulatu USA. Tu usłyszał zaskoczony, że... dobrze zrobił przyjmując ofertę, bowiem będzie równocześnie pracował jako agent amerykański. Po kilku godzinach William był zdecydowany na wszystko. W czasie gdy do Waszyngtonu szły w jego sprawie meldunki, Sebold przechodził gruntowne przeszkolenie w Hamburgu, pod okiem „samego” Canarisa. Na koniec znalazł się na statku odpływającym do Ameryki, z papierami, w których figurował jako Harry Sawyer.

W lutym 1940 roku Sebold wyładował w Nowym Jorku. Tu udał się bezpośrednio do biura FBI, gdzie przyjął go sam szef wywiadu i kontrwywiadu Edgar Hoover.



Na skrzyżowaniu 42 ulicy i sławnej Fifth Avenue jest zawsze duży ruch... Nawet w dzień deszczowy. Na drugim planie Green Line Bus — typowy autobus nowojorski

RZECZPOSPOLITA



(Dalszy ciąg ze str. 1)

by, przychodzi moment odprężenia.

Z ludzkich nastrojów, cichej, wytężonej pracy, to znów hataśliwej reakcji powstaje ten trudny do określenia „smak” przybytku wiedzy.

* * *

Trzy są zasadnicze aspekty sprawy, którą można nazwać jednym słowem — „Politechnika”: działalność dydaktyczna uczelni, jej działalność naukowa oraz związek z organizmem gospodarczym kraju i miasta.

Politechnika Łódzka kształci swoich słuchaczy w 32 specjalnościach. Poważna liczba — 95 samodzielnych pracowników naukowych zapewnia słuchaczom wysoki poziom zdobywanej wiedzy. Praktycznym wykładnikiem tego poziomu są prawa akademickie, posiadane przez pięć spośród sześciu wydziałów PŁ.

Corocznie na Politechnice dobiega końca kilka przewodów doktorskich, z szeregow dawnych słuchaczy przybywają „posiłki” do grona samodzielnych pracowników nauki.

W 69 Katedrach uczelni trwa nieprzerwanie praca badawcza. Jej rezultatem jest choćby konstrukcja esmochohu „Star 20” czy znajdująca się w powszechnym użytku guma mikroporowata, stosowana przy wyrobie obuwia.

Niestety, nie wszystkie, choć czasem rewelacyjne wręcz osiągnięcia, dają się przetłumaczyć na język tak użyteczny, jak wymowa przytoczonych wyżej przykładów.

Jako pewien, choć nie najskuteczniejszy miernik rezultatów prac badawczych może służyć liczba 2462 publikacji ogłoszonych przez naukowców PŁ.

W historii polskiej myśli technicznej ogromne znaczenie ma dorobek naukowy prof. dr Bohdana Stefanowskiego i prof. dr Osmana Achmatowicza.

Niemalymi osiągnięciami szczyt się liczne grono badaczy: prof. dr W. Bratkowski, prof. dr A. Boryniec, prof. dr A. Dorabalska, prof. inż. E. Jezierski, prof. dr B. Konorski, doc. dr E. Turska, prof. inż. Jan Werner, prof. inż. Jerzy Werner i prof. dr T. Zylliński.

Osobną dziedzinę stanowi

symbioza Politechniki z życiem gospodarczym kraju i miasta.

Powstanie uczelni zbiegło się z momentem powojennego uruchamiania łódzkiego przemysłu. Jest w tej pracy niemała zasługa wielu ludzi, którzy podjęli jednocześnie oba te zadania, że wspomniemy tylko obecnego rektora PŁ, prof. inż. M. Klimka, prof. inż. P. Prindisza, doc. inż. Cz. Dąbrowskiego, prof. inż. W. Korewę, doc. dr W. Wojtkiewicza.

Przez współdziałanie Politechniki powstało szereg łódzkich instytutów naukowych, pracujących dla przemysłu.

Szczególnie żywe i bezpośrednie kontakty z produkcją posiada Wydział Włókienniczy Politechniki.

Nie ma bodaj w Łodzi i w kraju żadnej poważnej konferencji naukowo-technicznej, w której zabrakłoby udziału pracowników naukowych PŁ.

Rozległym forum tego rodzaju kontaktów jest stowarzyszenie absolwentów uczelni, dzięki któremu oficjalna współpraca nabiera często cech „rodzinnej” więzi.

Istnieje uzasadniona nadzieja, że ofensywa postępu technicznego przyczyni się w jeszcze większym stopniu do zacieśnienia tych kontaktów.

Historia

„Kto nie zna przeszłości, ten nie zna teraźniejszości, ten nie zna siebie”.

Biorąc do serca ten voltairowski aforyzm, musimy sięgnąć wstecz, „odwołać się do tradycji” i w ogóle popatrzeć jak to było z tą przeszłością.

Myliłby się ten, kto zasugerowany 15-leciem, myślałby, iż łódzianie wpadli na pomysł zorganizowania uczelni technicznej dopiero tak niedawno.

Pomysł narodził się blisko 100 lat temu i można śmiało powiedzieć, że heroiczne boje łódzian o zorganizowanie wyższej uczelni technicznej, sięgają wieku.

Niekiedy zdawało się, że małowzrostki a już będzie Politechnika. Po powstaniu stowarzyszenia np. dyrektor główny Komisji Wyznań i Oświecenia Publicznego — Witte, upatrzył już nawet miejsce pod budowę Instytutu Politechnicznego. Ulicę Dziką, tam gdzie dziś znajduje się Park Sienkiewicza. Ba, na jesieni 1865 r. zaczęły zjeżdżać do Łodzi meble, aparatura i dzieła naukowe dla przyszłego Instytutu. Wszystko prawie było go-

towe prócz „decyzji cara. Car podjął jednak decyzję nieprzychylną i pomysł poszedł do lamusa. Potem niejednokrotnie jeszcze — i w czasie zaboru i po wyzwoleniu, błyskała nadzieja na Politechnikę. Kończyło się jednak tylko na błyskawicy...

Koniec trwającego wieku boju nastąpił dopiero w roku 1945. 1 marca 1945 r. „Zarząd Miejski Łodzi prosi Obywatela Ministra Oświaty o przyspieszenie ogłoszenia dekretu o organizacji Politechniki”, a już 24 maja 1945 r. dekret taki wychodzi.

„Rada Ministrów postanawia a Prezydium Krajowej Rady Narodowej zatwierdza”... powołanie do życia Politechniki Łódzkiej, składającej się z trzech wydziałów — mechanicznego, elektrycznego i chemicznego, oraz oddziału włókienniczego.

Jeszcze przed wydaniem dekretu z 8 maja, zjawia się w Łodzi „szara eminencja” Politechniki — pierwszy jej rektor — prof. dr Bohdan Stefanowski. Wraz z jego przybyciem Politechnika zaczyna się „z niczego” organizować.

Miasto pomaga. Dla tzw. Hotelu Profesorskiego na Placu Zwycięstwa łóżek dostarcza Wydział Oświaty, a naczyń i produktów — Wydział Apropowizacji.

Od uroczystej inauguracji — 25. X. 1945 r. uświetnionej wykładem prof. dr Andrzeja Soltana, rozpoczyna się życie uczelni na łódzkim bruku.

„Przerośli, wojenni studenci” słuchają pierwszych wykładów, w nieproporcjonalnie małych do ich wzrostu i lat ławkach i klasach łódzkich szkół podstawowych i gimnazjach...

Mamy tak cudowne konopie...

Najstarszym ze wszystkich „urzędujących” na Politechnice profesorów, jest prof. dr inż. Władysław Bratkowski.

Gdyby jednak nie to, że życiorys profesora można znaleźć w wielu publikacjach, i gdyby nie to, że profesor mówi — „niestety — 78 lat, nie mogę czarować” — sądząc po wyglądzie i energii, trudno by uwierzyć że prof. Bratkowski miał w kieszeni dyplom inżyniera już w... 1905 r. W roku 1911 tytuł profesora nadzwyczajnego, w trzy lata później — zwyczajnego.

Tyle lat i wszystkie po-

święcone włóknom! Włóknom lykowym, a w szczególności konopiom. „Poza konopiami — nic mnie nie interesuje” — mówi profesor.

Prostujemy — nie tak jak konopie profesora nie interesuje. Bo poza nimi np. lubi muzykę i czyta — „z wielkim gustem”, jak to ładnie sam określa — literaturę.

Prof. Bratkowski przez całe życie tworzył i budował od podstaw polski przemysł lniany. O nim najchętniej mówi, i to jak mówi! Z błyskiem w oczach, ożywieniem. W jego ustach konopie zaczynają niejako przybierać ludzką postać. O ich zaletach — że mogą zastąpić len i bawełnę — rozprawia jak o cechach charakteru dobrego znajomego. „Mamy tak cudowne konopie, a sprowadza się jutę!” — dodaje z żalem. A len — nasz len to jest cherlak, trzeba się nim opiekować, pielęgnować...

Marzeniem, które powoli dzięki pracom profesora nabiera realnych kształtów, jest — w jak największym stopniu zastąpić włóknom krajowym zagraniczne i kosztowne surowce włókiennicze.

Największym, niejako życiowym dziełem profesora jest dekorylator konopi maszyn, w którą „Jak się włoży todygi konopi, wyjdzie jednolita taśma konopnego włókna”. Jest nadzieja, że w najbliższych latach wybuduje się prototyp tej maszyny.

Prof. Bratkowski kieruje katedrą przedzalnictwa włókien lykowych i przyszłość tych włókien „widzi ogromną”.

A co profesor myśli o długowieczności?

Uśmiech rozjaśniający całą twarz i potem replika:

— „Mleko, mleko, mleko i po 80 żadnych przyjadłówek — powtarzam to za jednym, ponad 100 lat mającym Rosjaninem. Cóż, mleko pije, a do 80 brakuje mi jeszcze dwu lat”.

Labirynt transformatorów

Na wstępie czujemy się w obowiązku zaznaczyć, że wywiad z prof. Eugeniuszem Jezierskim uważany za osobisty sukces i dlatego prawdopodobnie tak się nam rozróż. Nie znaczy to, by profesor nie lubił dziennikarzy, wyrzucił ich broń Boże — za drzwi. Nie. Ale nie lubi wywiadów. Bo miły (z pozoru) i rozumiejący wszystko —

(z pozoru) dziennikarz — zawsze coś tam pokręci.

Ba, nietrudno jest pokręcić wiadomości o transformatorach. One też są przecież pokręcone. Tyle mają drutów, linii obwodów...

Prof. Jezierski jest „specem od transformatorów”, znanym dokładnie wszystkim, którzy kiedykolwiek parali się elektrotechniką. Nie dokładnie — tym, co się nią nie parali.

Prof. Jezierski — jak sam mówi, jest skromny i jednocześnie nieskromny. „Bo wiem, że zrobiłem, kawałek dobrej roboty”. Właśnie w dziedzinie transformatorów. Na przykład?

Na przykład profesor w 1945 r. zorganizował od fundamentów Katedrę, którą obecnie kieruje. We wszystkich politechnikach nazywa się ona Katedrą Maszyn Elektrycznych! W Politechnice Łódzkiej do tej nazwy doszło jeszcze „i transformatorów”. No bo poza profesorem na 12 pracowników naukowych katedry 7 zajmuje się właśnie transformatorami.

Prof. Jezierski 10 lat pracował w Zychlinie — w Fabryce Maszyn Elektrycznych i Transformatorów. Po wyzwoleniu kierował nią nawet przez blisko rok. Ale... przyszedł list od rektora Stefanowskiego: „na Politechnice Łódzkiej czeka na Pana mieszkanie, kawałek materiału na płaszcz i para butów”.

Przyjeżdża więc i organizuje. Przez te lata Katedra „wydała” 5 doktorów, 3 samodzielnych pracowników naukowych, 7 książek i ponad 30 publikacji. — „Ja nie wiem jak to powiedzieć, ale rozwój Katedry i młodszych kolegów, naprawdę leży mi na sercu”!

Katedra to pierwsza pasja profesora. Drugą jest książka „Teoria transformatorów”. „Każdorazowe coraz pełniejsze jej opracowywanie do nowego wydania, sprawia mi wiele trudności i radości”. Pierwsze jej wydanie było kluczem, który otworzył mi fabrykę w Zychlinie...

Mówiąc o transformatorach, profesor wstaje, zdejmując okulary, zaczyna gestykulować. Podchodzi do tablicy — pisze. Wzorami i wyliczeniami stara się laskowito wytłumaczyć ich kolosalne znaczenie. No, bo gdyby nie transformatory, nie moglibyśmy np. korzystać z energii elektrycznej Śląska. Robi krótki, rzeczowy wykład „transformator jest”... Patrzy spod oka, podejrzliwie, czy słuchacz chwytł. Mówi o „transformatorowej atmosferze” w Łodzi — jest M-3, będzie — M-17.

„25 lat „obstuguję” tę dzie-

dzinę. To świadczy o wielu rzeczach, o tym np. że jest mata konkurencja”.

Ot i pierwsza szpileczka. Druga — dotyczy papieru tkicz, próbowanego w kratkę.

„Po 15 latach doszliśmy do kontaktu francuskiego za 470 zł (nie lubię koniaków). Nie doszliśmy do papieru w kratkę. Stoję w kolejce po parę arkuszy”.

W r. 1955 profesor odznaczony został państwową nagrodą naukową II stopnia.

„Zrobiłem dobrą, naukową robotę rzemieślniczą, nie jestem artystą...” A więc — skromność.

Bez rzemiosła nie ma sztuki. Są rzemieślnicy — artyści, nie ma artystów nie — rzemieślników.

Prace profesora dotyczą „sztuki” transformatorów. Profesora zachwyca jeszcze inna sztuka — malarstwo, (np. Modigliani), mimo że nie ma się za znawcę. Oglądanie prawdziwych dzieł sztuki to dla profesora „straszna przyjemność”. I „być w Paryżu sprawia mi straszna przyjemność”. Dlatego po transformatorach, jest jeszcze Paryż, do którego profesor chciałby choć na miesiąc pojechać z żoną.

Muzyka, góry i „twórczy inżynier”

W gabinecie stoi biurko, biblioteczka i rajzbret nakryty pokrowcem, pod którym kryje się tajemnica niedokończonego projektu. Dostać się tu można przez halę obrabiarek.

Gabinet należy do profesora zwyczajnego PŁ, doktora nauk — Leona Burnata, kierownika Katedry Obrabiarek i Obróbki Skrawaniem.

Konstrukcjom tych maszyn poświęcił profesor cały trud naukowy swojego życia — od chwili ukończenia studiów na Politechnice Lwowskiej w r. 1914 do dziś. Był początkowo asystentem w swojej macierzystej uczelni, praktykował później w fabrykach (Poręba, Pruszków, Rzeszów i inne), wreszcie w r. 1946 objął kierownictwo Katedry w PŁ.

W telegraficznym skrócie nie sposób zrelacjonować żmudnej pracy naukowej profesora, nie da się nawet omówić ostatniego jej etapu, któremu na imię „krytyka metody „sprężystego szlifowania”. Metoda ta przed kilkoma laty została opatentowana i znalazła zastosowa-

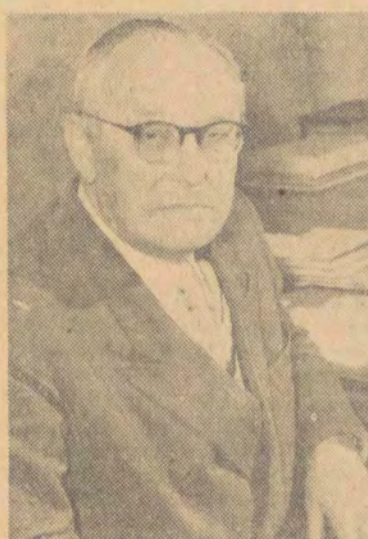
POLITECHNICZNA



Rektor P. E. prof. inż. M. Klimek



Prof. inż. E. Jezierski



Prof. dr L. Burnat



Prof. dr Alicja Dorabalska



Prof. dr W. Brańkowskiego

nie w przemyśle. Profesor uważa jednak, że jest ona zdecydowanie zła, przynosi więcej szkód niż korzyści. Tak, trzeba to jeszcze „tylko” udowodnić. Więc długie miesiące obliczeń teoretycznych, eksperymenty praktyczne, które nie zawsze jest gdzie wykonywać.

Gdy piętrzą się trudności, profesor wraca do domu i zasiada przy... fortepianie. Muzyka jest jego drugim życiem, w którym szuka wytchnienia. Był kiedyś pewien człowiek, który postanowił młodego chłopca „wykierować” na wirtuoza, udzielał mu lekcji za darmo, dla dobra sztuki. I skończyło się na obrabiarkach.

Alę zamłowanie zostało, choć sprowadzone do roli prywatnego hobby, które rywalizuje z innym — miłością do gór.

Jeszcze jeden „ikonik” profesora — tym razem z zupełnie innego zakresu. Chodzi o „twórczego inżyniera”.

„Przemysł nie lubi nauki, choć jest dla niej biernie życzliwy” — mówi profesor. Nauka musi walczyć z konserwatyzmem przemysłu, obciążać go nowymi zadaniami, a nie odciążać rozwiązaniem drobnych problemów.

Tę rolę w każdym zakładzie — racy powinien pełnić właśnie „twórczy inżynier”, niezwiązany bezpośrednio z produkcją. Na takich ludziach powinniśmy się opierać, realizując postęp techniczny.

Dziwne to hobby ten „twórczy inżynier”, ale jednak hobby. Sądy profesora na ten temat uderzają głębią i wszechstronnością przemysłu. Sygnalizują one, jak wiele czasu i trudu zostało poświęcone sprawie.

Przyszłość jest ciekawa...

O przyszłości Politechniki, najlepiej porozmawiać z jej rektorem — prof. Mieczysławem Klimekiem. Komuż bowiem lepiej od kierujących znane są tajemnice przyszłości? A prof. Klimek kieruje właśnie ogromnym organizmem Politechniki.

Co Politechnice w naj-

bliższych latach przybędzie? Według planów — wiele ważnych rzeczy. Wiele... i dlatego wiele zależy od środków, brzydki — acz dośladnie, nazwanych pieniędzmi. Przyszłość jest ciekawa, ogromna i... stoi otworem. Politechnika Łódzka wzmocniła się jako m. in. ośrodek badawczy w zakresie włókiennictwa i papiernictwa. Powstała Katedra Odzieżownictwa i laboratorium maszyn włókienniczych.

Ponieważ podstawa nowoczesności Politechniki jest fizyka techniczna, planuje się wielki rozwój Katedry Fizyki Technicznej.

Poza tym mówi rektor Klimek — według naszych zamierzeń narodzić się ma: Katedra Radiopchemii

Katedra Biologii Przemysłowej szereg katedr na wydziale budownictwa lądowego; rozwijać:

Katedra Garbarstwa. Przyszłość Politechniki nierozłącznie związana jest z tymi, dla których ona żyje — ze studentami, przyszłymi pracownikami i kierownikami przemysłu. I od nich w dużej mierze zależy.

Historia jednego wynalazku

Narodził się przed trzema laty w Katedrze Ciepłych Maszyn Płokowych i jest „najdroższym dzieckiem” profesora inż. Jana Wernera i grupy jego współpracowników.

Na imię ma: silnik wysokopiętny z samoczynnym zapłonem do samochodu „Warszawa”.

Nie jest wybredny — wystarczy mu 7 litrów ropy na 100 km, podczas gdy obecnie stosowany potrzebuje 12,5 litra benzyny.

Wczesną jesienią 1956 roku pierwszy projekt pojechał w tecze prof. Wernera do Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego. Projekt uznano za interesujący i wyznaczono wykonawcę części do prototypu — FSC w Lublinie. W lutym 1957 została nadesłana do Lublina szczegółowa dokumentacja.

Zamiast w październiku tego samego roku, części były gotowe dopiero latem 1958 l., w ogóle nie nadawały

się do użytku — wykonano je skandalicznie.

Poprawki trwały z przerwami około półtora roku — dokładnie do 8 stycznia 1960.

Silnik wreszcie ruszył. Ale po paru próbach pękł wał rozrządu. Znowu zwłoka, długie miesiące oczekiwania.

Prototyp, który mógł być gotów już dwa lata temu, dotychczas znajduje się w stadium prób. Profesor szuka nowego mecenasa. — „Może Żerań lub Ursus” — myśli. Wszędzie trzeba szukać „dojść”, zabiegać, prosić, kołatać.

„Ja bym rozumiał, gdyby to była jakaś rewelacja — mówi prof. Werner — ale to jest zwykły, ordynarny czterocylindrowy silnik, tyle że dużo tańszy w eksploatacji. Wszystko jest proste...”

Widać nie wszystko i nie dla wszystkich...

Obecnie, mimo tylu przeszkód, próby nad silnikiem dobiegają końca. Efekt będzie osiągnięty. Ale czy trzeba było aż tylu „cierpień”?

Kontakty naukowe

Poniższemu rysunkowi, ilustrującemu sieć zagranicznych kontaktów naukowych Politechniki, należy



się kilka dodatkowych słów wyjaśnienia.

Politechnika Łódzka współpracuje ze 116 ośrodkami naukowymi w 22 krajach świata. Najwięcej kontak-

tów przypada na Anglię (28 ośrodków) Czechosłowację (22) i ZSRR (16).

Uczelnia abonuje stale 777 tytułów zagranicznych czasopism naukowych, w tym 295 z ZSRR i krajów demokracji ludowej oraz 482 z krajów zachodnich.

W ciągu ubiegłego roku akademickiego Politechnikę odwiedziło 23 naukowców zagranicznych, wśród nich — wielu uczonych światowej sławy.

W tym samym czasie za granicę wyjechało 28 pracowników naukowych PL.

„Duchy” opiekuńcze

Dwadzieścia osiem lat pracy w zawodzie pielęgniarki, z tego ostatnie siedem na Politechnice. Teści jest „dorobek” pani Marii Maciejskiej, która codziennie od dwunastej w południe do ósmej wieczór urzęduje w ambulatorium uczelnianym. Zna ją za pewne każdy pracownik, czy student i ona chyba także zna wszystkich. Jest żywa kronika uczelnianych epidemii, wszelkich gryp, angin, niedomagani żołądkowych itp.

Pani Maria jest wielce zafrasowana — oto zbliża się termin ostateczny, a dopiero 500 studentów zgłosiło się na szczepienia przeciwdurowe. Więc pani Maria zabiega u opiekunów lat, w Zrzeszeniu Studentów i gdzie tylko się da.

Jest energiczna, ruchliwa, zawsze uśmiechnięta. „Praca ze studentami odmładza” — mówi. „Są dla mnie mili, nigdy nie

— Ja tu już — panie — piętnaście lat pracuję i swoje zdanie o studentach mam. Nie powiem, że bym ich nie lubił, szczególnie tych starszych. Bo ci — panie — na pierwszym roku, to jeszcze daje i za dużo swobody im się daje. A oni nawet nie wiedzą, jak się zabrać do roboty w laboratorium. Raz to nakryłem takich, jak się po ławkach garali, bo profesora jeszcze nie było. A jakem wszedł do sali, to zgasił światło i zaczęli się ze mną śmiać. Ale dostali za swoje. Każdy musi się nauczyć, żeby pracować i człowieka uszanować...”

Wieczorem, gdy ostatni student i wykładowcy opuszczają Gmach Główny, rozpoczyna swój dług spacer po salach i korytarzach p. Stefan Mikucki — wozny i opiekun gmachu. Mieszka naprzeciwko Politechniki i spędza tu cały dzień.

Bez tej drobnej, zawsze obecnej sylwetki w rogowych, grubych okłach, halli Gmachu Głównym wydawałyby się chyba puste. I do tradycji należy, że profesorowie nigdy nie zasomniują uściskać reki Mikuckiemu, gdy spotykają go rano. Obejmują je właśnie wtedy swoją „wachtę” na schodach hallu.

500 śniadań, 800 obiadów, 300 kolacji — oto codzienna porcja, którą pani Klementyna Narwus wraz z personelem swojej stolówki raczy alienasyoncy studentów Politechniki.

Właściwie mogłaby napisać historię łódzkich stolówek akademickich. Zaczynała „w tym fachu” przed 12 laty, jeszcze za czasów „Bratniaka”. Na Politechnice sprawuje rzady od lat czterech. Nigdy nie spotkała się z pretensjami ze strony studentów, uważa ich za grzecznych i uprzejmych, żałuje „straty” każdego absolwenta.

Żałuje też trochę tamtych lat, nie wszystko było „w porządku”, jak dziś, w których delikatnie bez grosza kombinował podwójne obiady i trzeba się było dobrze nagłowić, by wszystkich obdzielić tym, co było do dyspozycji.

Dziś jest inaczej — wszystkiego do syta, żołącki studentów odpowiednio napełnione, ale „romantyki” mniej...

Honoris Causa

Pierwszy na Politechnice Łódzkiej tytuł Doktora Nauk Technicznych honoris causa, nadany został przez Senat Akademicki, pierwszemu jej rektorowi prof. drowi Bohdanowi Stefanowskiemu w 1949 roku.

Na uroczystości 15-lecia Politechniki Łódzkiej 7 maja b. r. tytuł ten otrzyma dwu profesorów: prof. dr Wojciech Świętosławski i b. rektor Politechniki Łódzkiej — prof. dr Osman Achmatowicz.

Prof. dr Wojciech Świętosławski mimo, iż pełni funkcję profesora Uniwersytetu Warszawskiego z Łodzią jest ściśle od wielu lat zwią-

zany. Na Politechnice Łódzkiej pracują jego byli współpracownicy, wychowankowie i uczniowie. W badaniach prowadzonych w katedrze chemii fizycznej — widzi kontynuację swej szkoły.

Prof. Świętosławski jest wybitnym, światowej sławy pięćdziesięcioletnim w zakresie chemii polskiej ostatniego uczonym. Ukształtował oblietmochemii, ebuliometrii, kriometrii i azotropii. Twórca nauki o polizaotropii i szkoły badawczej. Organizator polskiej współczesnej fizykochemii.

„W końcu roku 1931, kiedy pojęcie neutronu było tylko majakiem naukowym, wysunął koncepcję możliwości neutronowych przemian pierwiastków chemicznych” — pisze o profeszora w poświęconych mu wspomnieniach prof. dr Alicja Dorabalska.

Prof. Świętosławski urodził się w 1881 r. Doktor chemii (Rijów), doktor H. C. Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, doktor H. C. Politechniki w Dreźnie, doktor H. C. Uniwersytetu Technicznego w Budapeszcie, doktor H. C. Uniwersytetu w Bukareszcie, prof. Politechniki Warszawskiej (1918—1939), profesor Uniwersytetu Warszawskiego (od 1945 r.).

Znaczenie i udział prof. dr Osmana Achmatowicza w rozwoju współczesnej chemii są ogólnie znane.

Doktor chemii (Wilno), doktor filozofii (Oksford), członek korespondent PAN i szeregu towarzystw naukowych w kraju i za granicą. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego (1934—1939 i od 1953). Współorganizator Politechniki Łódzkiej organizator i kierownik Katedry Chemii Organicznej Politechniki Łódzkiej w latach 1945 — 1953. Rełatach 1949—1952. Zasłużony badacz w dziedzinie chemii produktów naturalnych i syntetyz organicznej.

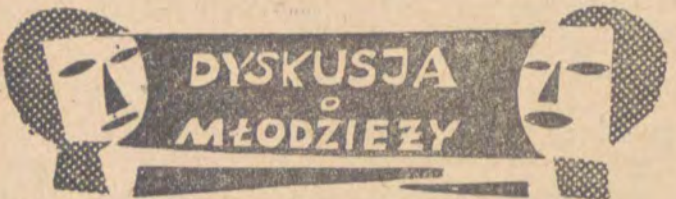
OPRACOWALI:
Irena Dryll
i Julian Brysz

ZDJĘCIA:
Leon
Olejniczak

odgłosy str. 7



Fot: E. Kudaj



STANISŁAW SIEGEL

Wizytator Kuratorium Łódzkiego

Uczeń wieku atomowego i szkoła epoki kamiennej

Od pewnego czasu problemy młodzieżowe skupiają uwagę środowiska łódzkiego. Zagadnieniu temu poświęca swe szpalty inicjator dyskusji — tygodnik „Odgłosy”.

Oddajmy tym razem najpierw głos młodzieży szkolnej, niech sama powie o sobie. Idąc za tym głosem, trafimy może do sedna sprawy i przekonamy się, czy młodzież jest rzeczywiście zła.

„Młodzież ma za sobą pewien kryzys związany z rozpadem ZMP i minionym okresem. Mówi się, że chuliganizm, ale problem chuliganstwa to pojęcie szerokie i dotyczy nie tylko młodzieży. Tu nie odgrywają roli warunki materialne, bo obserwujemy to samo na Zachodzie, gdzie poziom życia jest znacznie wyższy. Przyczyna leży gdzieś indziej.

Przedwcześnie styka się z

trudnościami życia słysząc o popełnianych przestępstwach gospodarczych, o ciężkich warunkach bytowania tych ludzi, którzy powodują się w swym życiu jedynie uczciwością... W tych warunkach młodzież szuka rozpaczi swego ideału a nie znajdując go buntuje się przeciw istniejącemu stanowi rzeczy. Bunt ten przybiera różne formy. Najczęściej przejawia się w negacji istniejących praw moralnych. Młodzież udaje cyniczną, a z czasem staje się nią naprawdę. Z cynizmu zaś wyrasta problem chuliganstwa... Ale młodzież nie jest zła”.

W takim świetle, w takiej życiowej oprawie widzi młodzież jej przedstawicielka, dając temu wyraz w zadaniu maturalnym. Dziewczyna poważna, stateczna, działająca wiele w

środku i organizacjach młodzieżowych.

Tak na młodzież patrzy pedagogowie, którzy najlepiej wiedzą, że mimo wszystko młodzież nie jest zła. Odkryła karty, wskazała wyraźnie na przyczynę swej choroby, z której trudno jej dźwignąć się bez pomocy z zewnątrz.

Ktoś powie: uzdrowmy społeczeństwo, które — jak dotąd — nie daje młodzieży dobrego przykładu. Stusny postulat. Uzdrowmy, najlepiej już od najbliższego poniedziałku. Tymczasem jest to proces długi, na lata obliczony, a młodzież dziś patrzy, bierze zły przykład, rośnie.

Trzeba doraźnego zabiegu, szybkiej pomocy ze strony konkretnych czynników: domu i szkoły. Niechaj młodzież tutaj znajdzie dobry przykład, opiekę, zaspokojenie swej ciekawości życiowej, słowem prawdziwą przystań.

Czy to pomoże, uzdrowi? — Na pewno w jakiejś mierze. Ciepło rodzinne, serdeczna troska i opieka domowa, odpowiedni dobór treści poznawczych w szkole, związanych z zainteresowaniem młodzieży, właściwy klimat wychowawczy nie pozostaną bez wpływu.

Dom rozbity nie wychowuje, lecz demoralizuje. Awantura, pijaństwo, rozwiązły życiem — a nawet jawna prostytutka. Wychowanka liceum dla wychowawczyń przedszkoli, zdecydowana kandydatka do usunięcia ze względu na demoralizującą postawę i zły wpływ, w szeregach rozmowie z nauczycielką skarży się: „Kto miał mnie wychować, gdy miałam 5 lat, matka wprowadzała kochanków, myślała, że tego nie rozumiem. W tej atmosferze i z pogłębiającym się urazem do matki wzrastalam”.

A więc matka przekreśli-

mimo najlepszych chęci nie dziecku z siebie nie daje. Jedzenie i przyodziewek — to wszystko. Lecz dla dziecka to bardzo mało. Kto je zrozumie, kto nauczy patrzeć na świat — życie, kto otoczy miłością i opieką? — Chłód i pustka wlonie zewsząd, wypęda za próg rodzicielskiego domu, na ulicę.

Jest jeszcze trzecia kategoria domów. Trudno tu mówić o rozkładzie rodziny, rodzice nie są zapracowanymi, ale ich wygodnictwo przeraża. „Jestem młoda chcę mieć swoje prywatne życie, kino, kawiarnie, towarzystwo” — recytuje bez zająknięcia matka zapytana o powód rozbisurmanienia swego syna.

A co z dzieckiem? W każdym przypadku idzie na ulicę, gdzie opiekują się nim koledzy i różnej maści doradcy.

Nie zdaje więc często egzaminu społeczeństwo, nie zawsze zdaje go dom. Idźmy tedy śladami młodzieży do szkoły, może tutaj znajdzie ona to, czego nie wyniosła z domu. Bo jak się mówi — szkoła to drugi dom dziecka.

Ale szkoła musi być atrakcyjna dla dziecka wieku atomowego, musi dawać wiedzę na współczesnym poziomie.

A jak jest w rzeczywistości? Gdy życie narzuca nieodparcie masowe wykształcenie na poziomie średnim, gdy zainteresowania młodzieży idą w nowym kierunku, nasza wiedza szkolna zatrzymała się na początku XX w.

Tymczasem młodzież ciekawi współczesność, zaś szkoła z uporem kulturuje przeszłość bez wyraźnej myśli o przyszłości.

Zmieniają się epoki, zmieniają się ludzie, zmieniają się pojęcia. Współczesny młodzien wskażując na chałupę chłopską podparta belkami od strony wejściowej — bo staruszka walila się już, pyta: czy to dworek szlachecki? Charakterystyczne pytanie, wielka jego wymowa.

Młodzież powojenna nie jest sentymentalna, „Twarde życie — życie zmierzwiłowane, gwałtowny postęp techniczny, wyługowały ją z tych szlachetnych pierwiastków. Romanizm, to daleka bardzo przeszłość zahaczająca o epokę kamienną.

„Uczeń wieku atomowego, szkoła z epoki kamiennej” — takim skoczkiem uświetnił maturzyści swą studniówkę, w jednej ze szkół łódzkich. — Wymowne to i — niestety — nie pozbawione racji widowisko.

Na trudność związania ucznia z przeszłością skarżą się powszechnie nauczyciele, i słusznie, inaczej nie będzie, skoro każdemu młodemu człowiekowi roztkliwiać się nad „Trenami” Kochanowskiego, nicować „Psalmy przyszłości”, dociekać isto-

ty symbolistyki u Słowackiego czy Wyspiańskiego, gdy tymczasem dla niego symboliką sputnik zdobywający kosmos.

Usiłujemy młodzieży na siłę wtłoczyć romantyzm do głowy, podczas gdy te wszystkie pojęcia są jej obce — odległe.

Uczymy np. historii z detalami przez wiele nieproduktywnych godzin, zamiast umożliwić poznanie współczesnego procesu historycznego. Fakty a nie problemy wszechwładnie dominują. Konia z rzędem temu, kto realizując obecny program w oparciu o podręcznik nauczycielski rewolucji francuskiej.

Niedawno byłem w szkole na koncercie żywego słowa. Aktorka recytuje z głębokim odczuciem utwory ilustrujące okres okupacji. Słowa padają jak huk niszczycielskich dział, ze strof wyciera tragedia ludzka. Przechodzą po ciele dreszcze, niektórym z grona nauczycielskiego zakreśli się iza w oku. A młodzież? Na ogół wyraz twarzy bez odczucia, wielu nawet uśmiecha się pogodnie.

A co mówić o dalszej przeszłości sprzed kilkuset lat? — To epoka kamienna.

Czy w tych warunkach należy zamknąć przed młodzieżą przeszłość? Nie podobnego. Młody człowiek musi zetknąć się z romantyzmem w szkole, musi poznać patriotyczne porwy, musi poznać humanizm niezbędny w międzyludzkich stosunkach. Boć przecie dzisiejsza kultura wyrosła na fundamentach dawnych. Ale dzisiejszy uczeń winien poznać tylko jej fundamenty a nie grzebać się w całym podpiwniczeniu — jak to robi w szkole na siłę.

„Album prababki” w starszym pokoleniu wzbudzi wspomnienie, dostarczy przeżyć, a w młodym — wywoła uśmiech politowania.

Szkoła dla młodzieńca atomowego jest nudna, obca, nie wiąże wychowanka, nie oddziałuje na niego. Nauczyciel i uczeń przechodzą obok siebie, nie rozumieją się, są sobie obcy. Zawiedziony młody człowiek patrzy na szkołę jak na zło konieczne i w 25% określa ją mianem koszmaru.

Uczeń przylapany przez milicję z dużym ładunkiem środków wybuchowych, oświadcza, że chciał szkołę wysadzić w powietrze.

Gdzie zatem kieruje swe kroki uczeń, by wyżyć się, by zaspokoić swoją ciekawość, w wypadku, kiedy ani dom, ani szkoła nie dają tego czego od dzisiejszego

życia wymaga młody człowiek?

Została kawiarnia, którą lansuje się na potęgę z myślą o młodym pokoleniu. Ciwarta jej wrota dla młodzieży szkolnej na oścież w trosce o „kulturalną” rozrywkę, o wypoczynek po pracy. Tutaj nabiera się potrzebnego szlifu, ogląda towarzyskiej, tu bogaci się słownictwo, tu zapoznaje się z życiem od strony podszewki.

W kawiarni licealista otrzymuje do dalszej odprędy w szkole narkotyki: morfina, kokaina, tutaj można otrzymać podrobione świadectwo lekarskie, tu można zarobić i stracić — najczęściej zdrowie. Kawiarnia — to szkoła życia, ale w najgorszym wydaniu.

W XVII — XVIII w. w okresie tryumfalnego pochodu kawy przez Europę lekarze rozpoczęli z nią zaciętką batalię twierdząc, że kawa staje się „straszliwą namietnością, despotycznym przyzwyczajeniem”.

Skraca życie. „Colbert spalił sobie kawą żołądek... jakaś księżna umarła od kawy po ciężkich cierpieniach, a w jej żołądku znaleziono po śmierci setki małych wrzodów... gubernator Flandrii umarł od raka na ręku spowodowanego przez pijanie kawy”.

Dzisiaj w okresie renesansu kawiarni, które objęły swym zasięgiem młodzież szkolną nie powtarzamy takich bajek. Natomiast stwierdzamy: kawiarnia skraca życie młodzieży w innym sensie, wywołując ją z uroku młodości, czyni ją przedwcześnie starą, a w wielu przypadkach sprawdza na drogę konfliktu z prawem, uczy nieposzanowania norm społecznych.

Uczeń czy uczennica z tarczą na ręce w kawiarni pełnej dymu i oparów winno-alkoholowych to element dekoracyjny niezbyt budujący i pożądany. Nie tu miejsce młodzieży. Boiska, piwalnie, szlaki turystyczne winny kłieć życiem. Tu młodzież winna znaleźć upust dla swej energii, Kluby, teatry, zespoły muzyczne, kółka zainteresowań — to droga do kulturalnego, towarzyskiego i estetycznego podniesienia poziomu.

Kto temu winien, że nie jest tak? Społeczeństwo często zimne, obojętne, i nie budujące swą postawą, dom rodzicielski na uboczu odpycha brakiem uczucia, opieki i duszną atmosferą drobniomieszkańską, szkoła nuży z własnej i nie z własnej winy. Zewsząd wieje nuda — pustka.

A młodzież?



Najostrzejsze ołówki świata

Larry Reynolds

Oto kolejny bohater „cykliczny” amerykańskiego humoru obrazkowego: BUTCH. Tym razem — jest to autentyczny... wlamywaniec. Postać sympatycznego wlamywanca ma swój stary literacki rodowód, począwszy od sławnego Arsena Lupina. Twórcą Butch'a — Larry Rey-

nolds — wyszedł jednak od filmu; protoplastą jego bohatera był aktor Wallace Bery ze świetną kreacją zbuntowanego, a przecież budzącego współczucie więźnia — w filmie reżysera George Hilla, „Szary dom” (1930).

Butch — bohater żartów rysunkowych, narodził się w kilka lat później — i z miejsca zdobył ogromną popularność. Jej sekret polega na cechach charakteru Butcha: jest dobroduszny, nikomu nie wyrządza krzywdy, kocha dzieci — i w rzeczywistości żadne przestępstwo nigdy mu się nie udaje. Albo trafi pod niewłaściwy

adres, albo ktoś go uprzedzi, lub też — jego znajomy, piekielnie sprytny i złośliwy starszulek — po prostu sygnie go przed policją...

Jako całość — przygodny Butch'a stanowią dowcipna odrzutka na „czarna” literaturę gangsterską, tak rozwinęta w USA.

Żarty te przez szereg lat

ukazywały się regularnie, co tydzień, w ambitnym magazynie ilustrowanym „Colliers”. Po likwidacji tego pisma, prawo pierwodruku, po ostrej walce z innymi redakcjami — uzyskał tygodnik „Look”. Stąd — przedrukowują systematycznie dowcipy Reynoldsa dziesiątki pism na całym świecie. (J-ert)



— Sypnąłeś mnie przed policją, żeby nie przegrać tej partii — co?

— Pan wybacz, pracowałem właśnie w sądzie i w jubitera — kiedy poczułem ten smakowity zapach.



str 8 **odgłosy**

Władysław Rymkiewicz ROMANS KROLEWSKI

Powieść historyczna

XIX.

Po grubych, popekanych wargach ojca jezuita przewinił się bolesny grymas, twarz przybrała wyraz dobroduszej niedolejności.

Butler zniecierpliwiony ruszył w kierunku gabinetu. Książę jak młodzieniaszek dał susa, przeciął idącemu drogę, rozpostarł ręce i jak rozkrzyżowany na drzwiach, zagroził dostęp do królewskich komnat. Cień zdumienia wionął przez twarz oberstera. Zdumiony i wściekły, poczuł na plecach dotknięcie czyjejś ręki, odwrócił się gwałtownie i ujrzał referendarza wielkiego koronnego, pana Andrzeja Morsztyna w towarzystwie Tyzenhauza. — Cóż się stało? Dlaczego waszmość pan taki zagniewany? — z układnym uśmiechem zapytał poeta.

Ujawszy oberstera pod ramię, poprowadził go do Sali Mozaikowej. Butler pozwolił się prowadzić, szedł między referendarzem a pokojowcem, wzbudzony, oslepły z furii i gniewu.

Pan Morsztyn usiadł obok Butlera i wyjął z kieszonki tabakierkę kameryzowaną diamentami. Butler zatrzymał wzrok na szylkretowym wieczku z portretem królowej.

— Waszmość pan dziwny pewnie, skąd u mnie to cacko? — poeta obrócił tabakierkę w palcach. — Trafiła ona do mnie, jako spłata długu od wojewody pomorskiego Denhoffa, który otrzymał ją w prezencie od kardynała Richelieu za sławne wymowę pochwały wdzięków boskiej Luizy przed królem Władysławem. — Chichotał cicho.

— Istota konfliktu europejskiego w naszych czasach, to walka między Francją i Austrią o panowanie nad Europą. Ludwik Czternasty, gdy dorósł, zadał śmiertelny cios chwającemu się kolosowi cesarstwa, na gruzach którego wzniesie gmach nowej monarchii uniwersalnej. Dlatego powinniśmy iść z Francją. To pierwsza prawda.

Butler zachnął się, jak człowiek, z którego chcą zrobić bliźnięta.

— Druga prawda jest taka, że przy aktualnym sposobie sejmowania ta Rzeczpospolita stoczy się w przepaść — pan Morsztyn ocenił to z chłodną obojętnością, jak lekarz konstatający nieuleczalną chorobę. — Marja Ludwika chce temu zaradzić przez reformę sejmowania i elekcję vivente rege, za życia króla. Na następcę po Janie Kazimierzu przewidziany jest syn księcia Ludwika Kondusza Wielkiego, Henryk Juliusz d'Enghien — referendarz koronny mówił bez pośpiechu — który ma poślubić siostrzenicę naszej królowej, Annę, córkę Anny Gonzagi, żony palatyna nadreńskiego. Królowa, jak waszmość panu wiadomo, nie zaznała siodły czy macierzyństwa. Całe jej niezaspokojone uczucie spłynęło na tę dziewczynkę, Annę.

Butler rzucił wściekle spojrzenie na referendarza koronnego. Pan Morsztyn odgarnął łagodnie z twarzy obfite lokki czarnej peruki. — Waszmość zranił wojewodę krakowskiego.

— Cóż to ma do rzeczy?

— Pan marszałek Lubomirski, oburzony na waszmość pana za despekt wyrządzony jego przyjacielowi, księciu Zasławskiemu — tłumaczył niedbale pan Morsztyn. — A królowej zależy na poparciu jej planów dynastycznych przez pana Lubomirskiego. Po co waszmość zadzierzał z księciem? To magnat. Pierwszy senator w Rzeczypospolitej. Głowa słynnego na całą Polskę rodu.

Pan Morsztyn zmierzył podkomorzego urażonym wzrokiem. — Ostoja monarchii jest prawo i honor. Tak mówi królowa.

— Królowa nie zna siły oporu, jaki stawiają jej wrogowie.

— Dlatego właśnie nie można walczyć ze wszystkimi. — Rysy wąskiej twarzy poety ułożyły się w wyrazie przenikliwej złośliwości. — Król jegomość ma wielu wrogów: Radziejowski, Opaliński, Zasławscy, Potoccy, cała fronda magnacka. Trzeba działać rozsądnie. Król jegomość jest słaby.

— Otóż to, słaby! — Butler zerwał się z fotela, ogromny, zdawał się wyższy, dźwięczał głośno. — Słaby! — rzucił się do wyjścia.

— Odprowadź waćpan pana podkomorzego — polecił znacząco referendarz Tyzenhauzowi, który zrozumiał: „Pilnuj, żeby nie popełnił jakiegoś szaleństwa”.

I dlatego Tyzenhauz starał się zagadać wzburzonego oberstera. — Prawda to — zapytał już w komnacie Butlera — że Radziejowski uciekł do Sztokholmu? Zapartek zdążył już rozpaść pod kominem. Duże polana spalały się w szkarłatnych trzepoczących językach płomieni. Butler zrzucił płaszcz, odpiął szpadę i zasiadł w fotelu przed płomieniskiem. Szkarłat buzzującego ognia rzucał różową lunę na twarz matowobładą w obramowaniu potarganych włosów o miedzianych refleksach. — U królowej i u króla odmówiono mi audiencji.

Tyzenhauz oparł się lokciem o gzyms kominka i stojąc, założył nogę o nogę na krzyż. — Zadawałem sobie nieraz pytanie — zaczął mówić z przesadnie akcentowanym spokojem i powolnością, rozciągając sylaby — czy waszmość masz serce na właściwym miejscu, czy może tylko bryłę lodu zamiast serca?

Butler rozprostował się w fotelu, podał się tułowiem do przodu, zacisnął wargi, po bokach zwartych ust wystąpiły guzy.

— Waszmość zabił porucznika wojsk nadwornych podkanclerzyny, Ryłskiego — pokojowiec królewski zmienił ton. — Za co? — zapytał oskarżycielsko.

— Lżył króla — Butler opadł na oparcie fotela.

— Jak to „lżył”?

— Znieważał osobę króla jegomości za to...

— Za co? Za co?...

— Za to, że król uwieził podkanclerzynie — szorstko dokończył Butler.

— Czym dobrze rozumiał? — Tyzenhauz zrobił krok w tył. — Waszmość powiada?

— zaczął pojmwować coś nieocis. — Aleć przecie podkanclerzyna nie uwieziona! Mówiłem o tym waszmości w Piotrkowie, przed twym wyjazdem do Wiednia. Dlaczego waszmość nie powiedział o tym nieborakowi? Jezusie, niewinnie zginął szlachcic!

Butler machnął ręką. — Waćpan tego nie rozumiesz tłumaczył zmieszany. — Nie mogłem wystawić na szwank autorytetu króla jegomości — machnął ręką — Autorytetu korony. Ta komedia dla prostactków — jakżeż to waćpan nazwał —

— Waszmość się zaplątał. Tacy jak ty, ludzie śmiertelnie poważni, wielu rzeczy nie mogą pojąć. Ale waszmość zabił szlachcica. Ludzie sarkają. To waszmość chyba rozumie? — sztychł.

— A dziś już tak nie można. Waszmość rąbie jak oszalały. Tak samo było z księciem Zasławskim. Królowa chce wzmocnienia władzy królewskiej. Zgoda. Królowa chce się oprzeć na regalistach. Prawda i to. Ale znów tacy jak waszmość mają przeciwko sobie wielkie rody i szlachtę, przyciśnięta



Rys. Tadeusz Kokieta

Bronię go przed nim samym. Świętość imienia królewskiego u prostych ludzi...

— Legenda! — przerwał impertynencko Tyzenhauz. — Legenda, której nasz Każkojan nie potrafi sprostać.

Butler w uniesieniu zamierzył się, jakby chciał Tyzenhauza uderzyć, lecz zreфлектовano się i chwycił go tylko mocno za rękę.

— Puść że waszmość! — Tyzenhauz jęknął z bólu i zaczął masować nadgarstek. — Bronisz Każkojana, a on ci się tak odwdzięcza, że się odwraca do ciebie plecami i nie chce znać.

— Gdzie odważni, którzy by wzięli na siebie nienawiść szlacheckiego gminu? — Butler zezował pytająco. — Obudzili i rozkruszyli bezmyślną, oglupiałą masę? Nikt walczyć o to nie chce. — Zacerpnął powietrza. — Zgubi nas beztroska polska, obojętna na wszystko, co nie zagraża naszemu domowemu szczęściu.

— „Walczyć”? — Tyzenhauz śmiał się cicho. Bezgłośnie urągławy śmiech rozpiekał go wprawiając w drżenie hafty i koronki na aksamitnym stroju. — Waszmość walczył, i czym się to skończyło? Lepiej sobie zaoszczędzić złudzeń i daremnych wysiłków,

— Zmówiliście się z królem! — Butler pogroził Tyzenhauzowi pięścią.

— To waszmość przecie bronisz króla, nie ja! — replikował pokojowiec królewski.

Bronię. I nie ja jeden.

Butler zapadł ciężko w fotel.

Masując rękę Tyzenhauz wrócił z wyrazem zgorzelenia na swoje poprzednie miejsce. — Teraz, kiedy już po harapie, mogą waszmość panu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę. W tym, co zamierza królowa, nie ma za grosz sensu. To majaki. Zaden argument nie przekona i żadna siła nie zmusi tej smoły, skomonu, tej holoty szlacheckiej do uznania eklekji za życia króla. Naród to nie ciasto, które można ugniatąć i miesić wedle swej woli. Waszmość płynął przeciwko prądowi i musiał utonąć dla majaków wyległych w mózgu niewiasty, której Bóg odmówił łaski macierzyństwa. Gdyby nasza boska Luiza miała zwyczajne zdrowe dzieciaki, oszczędziłoby to temu sławnemu Królestwu zamieszania, a waszmość panu mitręgi i zmartwień.

Dzwony z kościoła ojców bernardynów zaczęły bić na nieszpór.

Butler milczał. Twarz mu jakby nagle postarzała, sarkastyczny uśmiech, w którym było więcej bólu niż sztychła, zióbił promieniste zmarszczki, rozchodzące się od zewnętrznych kątów oczu. Oddzielona od piaszcza włosów smuga siwych nitką przecięła na ukos twarz.

— Król jegomość w nagrodę za trudy puścił waszmość w dzierżawę ekonomię grodzieńską — oznajmił Tyzenhauz. — Waszmość wyjedź do starostwa w Prenzach czy do nowej ekonomii.

Ustały trzaski dogorywających w kominie głowni, Butler z głową odrzuconą na oparcie fotela milczał zapatrzony w żar ogniska. — Błogosławiony Dukla nie! — przypomniał sobie Tyzenhauz. Przecież my dzisiaj mamy jechać z królem w odwiedziny do cudnej jejmości. — Wykonał rewerański i pobiegł do garderoby, wzięł dwa kapelusze, dwie oponcze, dwie półmaski.

Z oponczami przewieszonymi przez ramię wyrwał oknem. W mrokach wieczoru dostrzegł na dziedzińcu czarną bryłę pudła przed wiadomym wejściem do sieni zamkowej.

W gabinecie król w czarnej aksamitnej siedział w fotelu przy czarnej pluszowej serwecie, pokrywającej stół, na którym wznosił się srebrny krucyfiks między uczajającymi mu światła dwieście świecami w mosiężnych lichtarzach. Rude pionyki rzucały oleiste światło na woskowo żółtą twarz, obramowaną treflonym pasem mi czarnej peruki. Przebiegane palcami bursztynowe paciorki różańca spływały ze splecionych dłoni Jana Kazimierza, który poruszał bezgłośnie wargami.

Tyzenhauz pokłonił się nisko monarche, wystawiając dyskretnie na pokaz prze-wieszzone przez ramię oponczce.

KONIEC

CZY KRYZYS KSIĄŻKI?

(Dalszy ciąg ze str. 1)

— Lubię czytać Sienkiewicza. „Trylogia“ to jest dobra książka Orzeszkowej, Prusa, Krasińskiego nie lubię i nie czytam.

MÓWI MARIA
NIEWINOWSKA,
BILETERKA
Z KINA
„BAŁTYK“



— Książek czytam bardzo mało. Mam dużo pracy i dwie córki. Raczej czytam prasę, z książek czytuję bajki, które mąż kupuje dla dzieci. Orzeszkowej i Krasińskiego nie czytam, to jest dla mnie za ciężkie po pracy. Wśród sąsiadów też nie widzę wielkiego zainteresowania książką.

ODPOWIADA
WACŁAW
KOZAK
KIEROWNIK
KSIĘGARNI
„FILOMATKA“



— Jak długo pracuje Pan w księgarskim?

— Pracuję od 1922 roku. Czyli pełne trzydzieści osiem lat.

— W ciągu tak długiego czasu musiał Pan zaobserwować zmiany w procesie zainteresowania książką. W jakich okresach było ono największe?

— Niewątpliwie największe zainteresowanie książką przypada na okres powojenny. Przy czym popyt na książki ciągle rośnie. Książka jest dostępna dla wszystkich, ponieważ jest tania. W porównaniu z przedwojennymi cenami książek — bardzo tania.

— Czy podwyżka cen książek wpłynęła na zmniejszenie się popytu?

— Nie. W dalszym ciągu książek kupuje się b. dużo, a nawet coraz więcej.

— Jakie książki czytelnicy najczęściej kupują?

— Największe powodzenie mają książki dla dzieci i młodzieży. Codziennie sprzedajemy wiele egzemplarzy. Nieustającym powodzeniem cieszą się dzieła Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Reymonta, Krasińskiego. Są ciągle wznawiane, wycho-

— Co sądzisz o adaptacjach filmowych i teatralnych?

— Uważam, że są najlepszej nieudane. Oglądane po przeczytaniu książki powodują przeważnie rozczarowanie. Trudno im jednak odmówić pewnej roli popularyzatorskiej.

— Co możesz powiedzieć o poziomie czytelnictwa w Twoim środowisku i wśród Twoich kolegów-studentów?

— Uważam, że jest bardzo przeciętny. Współczesną literaturę czyta się przeważnie przez snobizm i przeważnie bez większego zrozumienia. Wylącają oczywiście książki, gdzie grają takie walory jak sensacyjność, kłótnia.

— Jaki jest Twój stosunek do klasyki polskiej? Jaki okres w naszej literaturze cenisz najbardziej?

— Klasyków staram się raczej unikać, choć oczywiście znam ich, moim ulubionym okresem, do którego ciągle wracam jest „Młoda Polska“.

— Czy zaobserwował Pan jakiegoś szczególnego zainteresowania książkami, które są adaptowane na scenę czy ekran? Czy uważa Pan, że radio i telewizja stanowią dla książki konkurencję?

— Owszem, obserwowałem takie zainteresowanie na przykładzie „Pożegnań“ Dygala. Po filmie książka b. szybko się rozeszła. Nie uważam, że radio i telewizja stanowią konkurencję dla książki. Wprost przeciwnie — na pewno pomagają w jej popularyzacji.

— Przejrzyjmy do pytania bardziej prywatnego. Czy uważa Pan księgarstwo za zawód oparty na szczególnym zamkownianiu?

— Niewątpliwie tak. Księgarstwo opiera się na szczególnym zamilowaniu, na pasji. Polega na wyborze życia wśród książek. Tutaj w pracy otoczony jestem książkami, w domu to samo. Kompletnie sobie biblioteczkę. Lwią część wolnego czasu przeznaczam na czytanie. Książkę zawsze wybieram jako najlepszą formę spędzenia wolnego czasu.

ODPOWIADA
MARIA
KOKORZECKA,
STUDENTKA
II ROKU
FILOLOGII
POLSKIEJ W...



— Co czytasz, jakiego rodzaju literaturę lubisz najbardziej, jacy są Twoi ulubieni autorzy?

— Chyba trzy czwarte wolnego czasu poświęcam na czytanie. Ulubionym moim rodzajem literackim są monografie. Chętnie czytam literaturę współczesną. Również chętnie klasyków rosyjskich i francuskich. Moi ulubieni pisarze to Wilde, Faulkner, Maeterlinck, Dostojewski, Tolstoj.

ODPOWIADA
HELENA
DURIN,
PISARKA



— Bardzo trudno zapytać panią, pisarkę, o Pani czytanie. Ponieważ jednak jest to pierwsze z szablonowych pytań...

— Życie moje właściwie dzieli się między czytanie i pisanie. Czytam bardzo dużo, a manię czytelnictwa mam już od wczesnego dzieciństwa.

— Jakiego rodzaju literaturę czyta Pani najczęściej?

— Nie jestem wielką amatorką beletrystyki. Nie przemawia do mnie fikcja literacka. Najchętniej czytam epistolografie, wspomnienia i pamiętniki, książki obyczajowo-histeryczne. Z beletrystyki wracam chętnie do Prusa, szczególnie do „Lalki“.

— Z książek współczesnych pisarzy b. cennie „Noc i dni“ Dąbrowskiej, jak również Iwaszkiewicza — zarówno prozę jak i wiersze. Nowoczesna poezja nie bardzo mi odpowiada. Wolę zatrzymywać się na Lechońcu i Tuwimie.

— O ile wiem, pracowała Pani przez dłuższy czas w bibliotekarstwie. Co sądzi Pani o czytelnictwie, o drogach prowadzących do podniesienia jego poziomu?

— Uważam, że jest ogromny postęp czytelnictwa. Pracując w bibliotece otrzymywa-

wałam wiele listów od czytelników z pytaniami, prośbami o radę i wyjaśnienia. Jest wielkie zainteresowanie historią — oczywiście beletrizowaną. Tym na przykład tłumacząc wielkie powodzenie książek Władysława Rymkiewicza. Podniesienie poziomu czytelnictwa zależy od ogólnego podniesienia poziomu kultury i wykształcenia. Oczywiście i od dobrych książek. Mam przykłady na to, że nawet prymitywny czytelnik wyczuwa poziom artystyczny książki. Myślę, że czytelnictwo jest na bardzo dobrej drodze. Młodzież, z którą stykałam się na wieczorach autorskich zadziwia swoim czytaniem, lubi książki. To dobry znak.

— Po „Gawędach o dawnej Łodzi“ Pani czytelnicy oczekują nowych książek...

— Piszę swoim zwyczajem kilka rzeczy równocześnie. Są to trzy książki. Pierwszą to powieść dla młodzieży, do której materiałem są moje wspomnienia z czasów kiedy uczyłam w kilku gimnazjach warszawskich. Piszę tam o szeregu moich uczennic, o typach przeżytych i ludzi — trochę poważnie, trochę śmiesznie. Druga — również wspomnieniowa z okresu mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Każde wspomnienie wiąże się z jakimś charakterystycznym obyczajem. I trzecia — (do piero rozpoczęta) — będzie żartobliwie traktowała o kwestii kobiecej, o emancypacji kobiet na podstawie starej prasy.

ODPOWIADA
KONRAD
ŁASZEWSKI,
AKTOR
TEATRU IM.
JARACZA



— Wydaje mi się, że mój zawód nie pozwala na traktowanie książki jako rozrywki. Książka jest dla mnie źródłem wiedzy o świecie i o człowieku. Niejednokrotnie jakaś lektura bezpośrednio lub pośrednio wpływa na charakter roli, nad którą pracuję, jest dla niej tworzywem. Nowoczesny aktor musi posiadać wiedzę o człowieku, nie może bez niej pracować, w przeciwnym wypadku jego praca opierałaby się tylko na intuicjonizmie.

— Jakiego rodzaju literatura zajmuje Panu najwięcej czasu?

— Przede wszystkim dramaturgię. Również prace krytyczne o teatrze, publicystyka dramatyczna — a więc to, co jest związane ściśle z moim zawodem.

— Co sądzi Pan o powieści „Jeży jak polska twórczość dramatyczna“?

— Wydaje mi się, że o współczesnym dramacie mówi się dużo gorzej niż na to w rzeczywistości zasługuje, bo mamy przecież cały szereg sztuk ambitych i wiele zupełnie przyzwolonej literatury dramatycznej.

— Jaka jest opinia Pana o znanej niechęci młodzieży aktorskiej do książki?

— Nie generalizowałbym tego zagadnienia, choć przyznaję, że na studiach raczej niechęć się czyta. Ma to swoje wytłumaczenie. Młodzież w szkole nabywała się książek, teraz pochłania teatr, który stanowił dla niej dawniej tabu. To oddalenie się od książki jest na pewno objawem złym, ale nie tak bardzo niepokojącym. Kiedyś samo życie zmusi tych młodych ludzi do zwrócenia się o pomoc do książki.

— Pana ulubione książki, autorzy?

— Pytanie jest b. szerokie, dlatego w odpowiedzi muszę zmieścić różnych autorów i różne książki. Przede wszystkim literatura nowocześniejsza, a z niej Sartre, Joneco, Obok tego Twain, obok tego „Chatka Puchatka“...

PTA
I ODPOWIADA
MAREK
WAWRZKIEWICZ



— Przeprowadziłeś szereg rozmów, część ich przytoczył tutaj. Czy w ich świetle można postawić tezę o kryzysie książki, a więc, w dalszej konsekwencji — o zamierzeniu pewnej formy kulturalnej?

— Teza (tak) nie wytrzymałaby krytyki. Nie może być mowy o kryzysie książki wtedy, kiedy mamy do czynienia ze zjawiskiem masywności książki. Polska jest przecież krajem, w którym (w porównaniu z państwami Europy Zachodniej czy Ameryki) książki rozchodzą się w olbrzymich nakładach. Oczywiście, te nakłady były jeszcze większe w tzw. milionowym okresie, ale wtedy też narodziło się pojęcie „cegiły“ — książki złej, niestarannie wydanej, która latami zalegała półki księgarskie.

— Małe państwo atlantyckie są coraz bardziej zanępane wzrostem niemieckiej potęgi. Dyplomacja zachodnio-niemiecka jest faktycznie odcięta od Moskwy i Warszawy, czyli od możliwości działania na głównym dyplomatycznym froncie.

— Mimo więc pozornych sukcesów pozycje polityczne Niemiec Federalnej Republiki nie są w tej chwili zbyt mocne i trwałe. A każdy podmuch odprężenia, każde dobre słowo i czyn w stosunkach między Wschodem i Zachodem przyczyniają się do izolacji zachodnio-niemieckiej kry lodowej.

Mimo więc pozornych sukcesów pozycje polityczne Niemiec Federalnej Republiki nie są w tej chwili zbyt mocne i trwałe. A każdy podmuch odprężenia, każde dobre słowo i czyn w stosunkach między Wschodem i Zachodem przyczyniają się do izolacji zachodnio-niemieckiej kry lodowej.

JACEK LEBEN

ZNÓW O NRF

O NRF można pisać bez końca. Przy tym ile by się nie pisało, nigdy nie będzie za dużo. Wszystko, co dotyczy tego kraju, budzi w społeczeństwie polskim zrozumiałe zainteresowanie, a coraz częściej zrozumiałe obawy. Jesteśmy z NRF na politycznych antypodach. Jesteśmy krajem, który najbardziej ucierpiał na skutek agresji hitlerowskiej. NRF to państwo uważające się za prawne spadkobiercę III Rzeszy. Jesteśmy krajem, który zdecydowanie stawia na kartę odprężenia międzynarodowego. NRF jest państwem, które postawiło rów-



nie zdecydowanie na antykomunizm i zimną wojnę.

— Ale jeżeli przed dziesięciu czy nawet pięciu laty bolskie werble walczyły w zgodzie z całą atlantycką orkiestrą, o tyle teraz w 1960 roku warkot tych werbli brzmi coraz częściej jak dyssonans.

— Przed tygodniem dramatyczne wypadki słułyby wystawową „demokracji“ i antykomunizmu — Koreę Południową, Koreę Południową jest bardzo odległa geograficznie od Niemieckiej

Republiki Federalnej. Mimo to, oba te kraje mają wiele punktów zbieżnych. Oba są podzielone, oba głoszą konieczność wyzwoleniejszej misji w stosunku do krajów socjalistycznych, oba stawiają na antykomunizm. W Korei Południowej antykomunizm nie wystarczył. Na jak długo wystarczy w NRF? Drugie porównanie: na wschodnim krańcu Europy Turcja spełniała te same funkcje, co Niemiecka Republika Federalna na zachodnim krańcu. Stosunki radziecko-tureckie były po wojnie bardzo napięte. Turcja to niezwykle ważne ogniwo w systemie paktów wojskowych i baz militarnych skierowanych przeciwko Związkiw Radzieckim.

— Premier Turcji Menderes udaje się jednak w bliskim czasie do Moskwy z oficjalną wizytą. W bieżącym roku również premier Chruszczow odwiedzi Turcję. Staje na warsztaście uregulowanie stosunków radziecko-tureckich. Jest to chyba znak czasu. Jak długo przetrwają Niemieckiej Republiki Federalnej mogą nie patrzeć na zegarek?

— Niedługo po zakończeniu drugiej wojny światowej w czolowych krajach Zachodu kształtowały się na anty-

komunistycznej pozytywce rządzącej partii chadeckich. Dotyczyło to między innymi Francji, Włoch i Niemiec Zachodnich. We Francji chrześcijańska demokracja — MRP bardzo szybko straciła grunt pod nogami i właściwie wypadła z obiegu jako wielka partia.

— We Włoszech rządząca partia chrześcijańsko-demokratyczna przeżywa w tej chwili poważny kryzys. Skrzydła tej partii uderzają rozpaczyliwie szukając oparcia bądź na niekomunistycznej lewicy, bądź to na neofaszystowskiej i monarchistycznej prawicy.

— Jedynie w NRF chadecka utrzymuje ciągłość władzy, uderzając w te same antykomunistyczne klawiszowe przed dwunastu laty. Jak długo procesy, które przechodzą przez cały świat, omijać będą NRF?

— Koła rządzące w NRF mierzają daleko i patrzą daleko — za ocean. Amerykańska odmiana antykomunizmu, maccartyzm, należy już w tej chwili do historii. Stary Zjednoczone musiały uznać, że koncepcja „wyzwalania“ krajów socjalistycznych, zakładająca słabość i nietrwałość świata socjalistycznego, to w dobie dzisiejszej mrzonka. Eisenhower zaprosił

Chruszczowa, zgodził się na konferencję na szczycie, odziedziczył niedługo Związek Radziecki, a sztab amerykańskich polityków szuka w tej chwili takiej koncepcji współistnienia, by nie uderzała ona w interesy Stanów Zjednoczonych w świecie.

— Ostatnie wypowiedzi kancлера Adenauera świadczą o tym, że nie chce on zejść z obranej przez siebie drogi. Kierunek na stoperdowanie konferencji na szczycie jest zupełnie wyraźny. Nie rokować w sprawie Berlina i właściwie nie rokować w sprawie Niemiec. „Ja się nie zgadzam na żadne rozmowy“ — wola Adenauera. A tymczasem jego minister obrony Straus szuka baz dla Bundeswehry w całej Europie. A tymczasem niemiecki przewodniczący Wspólnego Rynku Hallstein proponuje jak najszybszą integrację Wspólnego Rynku, która zapewniłaby Niemieckiej Republiki Federalnej pozycje faktycznego hegemonu w zachodnioeuropejskiej gospodarce. NRF czyni w tej chwili gwałtowne wysiłki, by wygodniej ustawić się pod prąd i moc stawiać świat przed faktami dokonywanymi. Szuka możliwości swobodnego działania, bo w

— Mimo więc pozornych sukcesów pozycje polityczne Niemiec Federalnej Republiki nie są w tej chwili zbyt mocne i trwałe. A każdy podmuch odprężenia, każde dobre słowo i czyn w stosunkach między Wschodem i Zachodem przyczyniają się do izolacji zachodnio-niemieckiej kry lodowej.

— Mimo więc pozornych sukcesów pozycje polityczne Niemiec Federalnej Republiki nie są w tej chwili zbyt mocne i trwałe. A każdy podmuch odprężenia, każde dobre słowo i czyn w stosunkach między Wschodem i Zachodem przyczyniają się do izolacji zachodnio-niemieckiej kry lodowej.

W TYM TYGODNIU

(oprócz Wyścigu Pokoju)

radzimy obejrzeć

Czwartek 5. V. O godzinie 19.10 radzimy obejrzeć program filmowy pt. „Droga przez Śląsk”. Godz. 19.55 Łódzka Kronika Filmowa. Zaraz po niej z Warszawy PKF. Teatr „Kobra” prezentuje widowisko pt. „Będę mówił prawdę i tylko prawdę”. Program z cyklu „Spotkanie z współczesnością” pt. „Niemcy i bezpieczeństwo Europy” rozpocznie się o godz. 21.30.

Piątek 6. V. Godz. 16.30 XIII Wyścig Pokoju sprawozdanie z zakończenia V etapu na trasie Gotwaldowo — Kraków. O godz. 19. Program filmowy „Piosenka ci nie

da zapomnieć” i o 20 film fab. prod. angielskiej dozwolony od lat 16 „Latwe życie”.

Sobota 7. V. O godzinie 17 rozpocznie się transmisja akademii z okazji 15-lecia Ziem Zachodnich. O 18.50 zakończenie VI etapu Wyścigu Pokoju na trasie Kraków — Katowice. Program rozrywkowy „Wiosna, wiosna” nadawane zostanie z Łodzi w programie ogólnopolskim o godzinie 21.15.

Niedziela 8. V. Z Katowic o godzinie 11 transmitowany będzie wiece ludności w 15-rocnicie zakończenia II wojny światowej. Godz. 14.14

film prod. polskiej. „Deszczowy lipiec”. Transmisja z Wyścigu Pokoju (zakończenie etapu na trasie Katowice — Łódź) godz. 16.40. Teleturbinie poświęcony będzie tym razem problematyce ogólnopolskiej i nosi tytuł „Od Sudetów do Bałtyku”. Początek godzina 18. Film fabularny prod. francuskiej dozwolony od lat 16 pt. „Zakazany owoc” nada Łódź w programie lokalnym o godz. 20.15, po czym z Warszawy o 21.50 „Obrazki śpiewające” wg. Leona Schüllera.



PIĘKNY CZYN TYSIĄCLECIA W TV

ODRODZENIE KADRY SATYRYKÓW-BICZOWNIKÓW

Donosimy uprzejmie, że w związku z obchodami Tysiąclecia naszego Państwa w ramach sięgania pamięcią wstecz i odtrzebienia różnych tradycji, odgrzeźbialiśmy zwyczajnie sekty biczowników średniowiecznych.

Nie doszliśmy jeszcze do prawdy do tego, by autorzy programów rozrywkowych naszej telewizji sami smagali się biczami po gołych częściach ciała, ale wykształciliśmy już u nich uczucie zadowolenia kiedy niemal po imieniu smaga ich prasa obarczając winą za fatalny program widowisk. Co prawda zdarzają się jeszcze jednostki niedyscyplinowane, np. autorzy prowincjonalnych kabaretów literackich, którzy na widok tych nędznych resztek ich utworu jakie TV zdecydowała się pokazać na antenie, wyrzucają z rąk inspijenta plansze ze swym nazwiskiem i zakrywają ją przed okiem kamer własnym ciałem. Ale na ogół są to wypadki sporadyczne i godne pożałowania.

Jak doszliśmy do takich pięknych rezultatów — zapytaliśmy kogoś odpowiedzialnego za humor i satyrę na antenie TV, człowieka śmiertelnie poważnego i na szczęście zupełnie pozbawionego elementarnego poczucia humoru.

Stopniowo, stopniowo! Najpierw proponujemy przeniesienie do TV całego programu takiego np. „Poddasza”. Autorzy i wykonawcy się zgadzają. Potem stopniowo od najwyższego naszego szczebla począwszy wyrzucamy co lepsze, co dowcipniejsze teksty. Robi się to powoli i z uśmiechem by nie drażnić ludzi. Stopniowo, aż do chwili rozpoczęcia audycji. Jeszcze wtedy przez sieć wewnętrznych telefonów studia podajemy komunikat o usunięciu resztek czegoś, co być może wzięte by było za dowcip. W ten sposób metoda wstępnego poognębienia autorów świecą pierwszy sukces. Oni oczywiście wcześniej podpisał umowę, co ich w określony sposób obliżuje i grozi odpowiedzialnością prawną w razie zerwania spektaklu.

No dobrze — powiadałaby — a gdzie mamy tych biczowników, o których mowa na początku?

Po ukazaniu się czegoś takiego na antenie (np. z dwugodzinny program „Pod dasze” zrobiliśmy pół godziny tzw. chały odzywa się prasa. I bije po nędznych autorach, winowajcach głupawej koncepcji, po wykonawcach. Nie rusza tylko nas, telewizyjnych epoców od humoru i satyry.

Winni są autorzy! A co moż. taki rtor zrobić? Jest wściekły, że mu spaprano tekst że go po prostu skompromitowano więc się cieszy, że prasa odpowiednio potraktowała audycję. Cieszy się z tego że go opluto i wyśmiano. Daje mu to może jakąś satysfakcję, ale przede wszystkim stwarzamy w ten sposób postać i typ nowoczesnego biczownika:



czym przyczyniamy się do utrwalenia naszych specyficznych narodowych tradycji.

ZAPROPONOWAĆ NIE WOLNO!

ŚWIĘTY EKSPERYMENT!?

Docieklność nie winna być obca sercu człowieka — nawet gdyby szanse pomyslnego zakończenia eksperymentu były niemal równe zeru. Bo tak: grana jest w Łodzi sztuka, wokół której burza szaleje — to miała iść, to w ogóle nie iść (mowa oczywiście o sztuce Karola Obidniaka „Pokój pełen dymu”), to oceniano ją tak, to owak.

Ale przecież — niezależnie od tego, jak tę sztukę się ko nieć końców oceni — tyczy ona problemów drażliwych, ważkich, bolesnych, bo problemów młodzieży. Może z „Pokoju pełnego dymu”.

Składa się jednak tak dziwnie, że Zespół do Spraw Teatru krzywo patrzy na sztukę wspomnianą. Przeciw niej jest! Bardzo przeciw niej! Aż za bardzo.

Więc czemu by nie — na przykład — telewizja? Czego nie może dyrektor Jasiński (lub nie chce) to może (lub może zechce) prezes Pański człowiek bądź co bądź bywały i w doświadczenia bogaty,



Teatr — jak dotąd — nie pozwolił, a przecież — jesteśmy siada zdjęć. Prezentujemy coś możliwie zbliżonego w duchu

jako że był dyrektorem Centralnego Zarządu Teatrów za czasów, kiedy o decentralizacji jeszcze żęśmy nie styszeli.

I nie to nawet, że chcemy skłócić dwie potężne osoby (wiemy wszak: zgoda buduje, niezgoda rujnuje), ale — zróbmy eksperyment.

Przynajmniej za żywy oddźwięk na sztukę proponowaną — w wypadku retransmisji telewizyjnej — ręcymy!

Nie uciekać od rzeczywistości

(Dokończenie ze str. 2)

sa, przypadek, na los szczęścia.

Czy zresztą cały sport nie jest po trosze mieszaniną niezależnych od ludzkiej woli elementów z rzetelną sprawnością mięśni, inteligencją zawodników? Czy nie prof wokuje do tej, jak się rzekło ucieczki od rzeczywistości w świat wyobraźni, marzeń, nigdy nie zaspokojonych tęsknot? Już czuje, jak Zbigniew Chyński zaciera z uciechy ręce. Oto jeden jeszcze argument dla jego tezy. Ale może właśnie ona jest najsilniejszą obroną sportu?

Kolarze zbliżają się do bram Polski. Wraz z tym rośnie napięcie w kraju, wzrasta gwałtownie temperatura. Gustaw Adolf Schur, dwukrotny zwycięzca Wyścigu, dwukrotny mistrz świata, popsuł nieco dramatyczną walkę już pierwsze go dnia, rzucając swe atuty na szosę. Odkrył przyłbicę Szarka się teraz natoczywie odpowiednich dla niego „y-wali. Połowę smaku traci każda walka, gdy już w jej początkach bez trudu można wskazać zwycięzcę. Tę, jak przystało w każdym solidnie zbudowanym dramacie, powinien być wyłoniony dopiero w ostatniej chwili. Schur się najwyraźniej nie zna na tych podstawowych zasadach dramatu. Wszyst-

ko, z lokalnego punktu widzenia, uratowali Polacy. Pokłereszowani bladający na swój pech, rozpaczliwie walczyli o zaspokojenie aspiracji kibiców. Dzięki temu utrzymują na wysokim poziomie zainteresowanie.

Zgłębiono w Czechosłowacji. W Brnie nawet niezwykle atrakcyjny mecz piłkarski z angielskimi zawodcami Luttown Town nie zdołał ściągnąć na mecie etapu kompletu widzów. Przerzedziały się szosy, wzdłuż których dawniej tkwiły setki tysięcy obserwatorów. Zna na rzecz nikt nie ma ochoty obserwować porażki swych rodaków. A nasi południowi sąsiedzi, tak kiedyś groźni, przesiedli się z rowerów na Jawy, Spartaki, Tetry, Skody. Rower stracił tam przejściowo swą atrakcję. Nam to nie grozi. Nawet gdyby dwa Mikrusy wypadły na jednego obywatela, niezmiernie pozostaniemy wierni Wyścigowi Pokoju. Nie tylko dlatego, że w decydujących chwilach Mikrusy odnawiają posłuszeństwo. Wyłączenie dlatego, że romantyzm sportowej przygody jest tak właściwy polskiej naturze i że tak lubimy popadać w uniesienia. A cóż może stworzyć lepszą okazję niż tak fascynująca walka kolarzy.

WIESŁAW KACZMAREK



Co piszą inni

W 17 numerze krakowskiego „Życia Literackiego” łódzki poeta Jerzy Waleńczyk poinformował czytelników o tym, że „W Łodzi toczy się zawięta dyskusja na temat młodzieży, prostytucji, etyki. Prym wiodą „Odgłosy” tygodnik, którego redaktorzy i współpracownicy wężą, penetrują kawiarnie, łapią na gorącym uczynku młodych ludzi, trzymających za kolana nastoletnie dziewczęta”.

Poza tym w felietonie upchnięto także 99 innych cennych informacji i ploteczek z terenu naszego miasta za co chwala pocieże znanemu skądinąd wrogowi „kawiarni i nastoletnich dziewcząt”.

W jednym z ostatnich numerów „Express Ilustrowany” dowcipnie zwraca uwagę na lokalizację Teatru Narodowego.

Otóż teatr zbudowany został w miejscu, w którym przed kilkudziesięciu laty utopił się Kozak z koniem. Nielicze musiało tam być bajoro.

Poza tym z prawej strony teatru znajduje się Sąd Wojewódzki, z lewej natomiast... Zakład Medycyny Sądowej.

Oby tak interesujące sąsiedztwo nie wywarło wpływu na repertuar i poziom sztuk przyszłego Teatru Narodowego.

Goście w Łodzi

W ubiegłym tygodniu bawił w naszym mieście na zaproszenie Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumonologicznego — prof. dr J. Crofton — wybitny angielski specjalista leczenia gruźlicy.

W czwartkowej „bielsadzie literackiej” w Łódzkim Domu Kultury wzięł natomiast udział znakomity pisarz, Stanisław Dygat, autor powieści „Pozegnania”, na której tle reżyser Has nakręcił swój znany film.

Wszystko o filmie

Wszystko lub prawie wszystko o filmie postanowili już w początkach maja powiedzieć łodzianom Łódzki Dom Kultury, CWF, OZK i redakcja „Głosu Robotniczego”.

Przysławie o „Sześciu kucharkach” nie znajdzie chyba jednak w tym wypadku zastosowania. Materiały do wystawy (i to jakiej) zostały już przygotowane.

Czytelnikom możemy zdradzić tajemnicę, że na owej wystawie znajdzie się obszerny dział zagraniczny. Będziemy więc mogli obejrzeć zarówno oryginalne francuskie plakaty, jak i bogaty wybór zachodniej literatury filmowej.

Na wystawie eksponowane będą również programy kinowe i to z roku... 1918. A więc swojego rodzaju „białe kruki”.



Bestsellery miesiąca

W kwietniu największą popularnością cieszyły się przede wszystkim pozycje PIW-owskiej biblioteki „Jednoróżca”. Jest to seria bardzo starannie wydawana i — co nie jest bez znaczenia — tania.

W Bibliotece „Jednoróżca” znaleźliśmy obok „Losu człowieka” Szolochowa — „Licencjat Vidriera Servantessa, „Żywot łazika z Tormesu”. W sumie w księgarni PEGAZ sprzedano około 300 egzemplarzy pozycji tej serii.

Dużym powodzeniem cieszy się również esej popularno-naukowy Herberta Wendta pt. „Poszukiwanie Adama”. Książkę wydała „Wiedza Powszechna” w stosunkowo małym nakładzie 10 tys. egzemplarzy.



Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” * Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 244-79 * Warunki prenumery: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł * Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca * Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk HSW „Prasa” — Łódź. Zwirki 17 Z. 1358. IV. 1960 r.

R-1

„OKRUCIENSTWO”

Wśród najnowszych filmów produkcji radzieckiej, film „Okrucieństwo” reż. W. Skulpina wyróżnia się przede wszystkim swoim tematem.

Odpowiedzialność komunisty za swoje wszystkie czyny; szczególnie odpowiedzialność wobec ludzi, których trzeba dopiero przekonać do idei socjalizmu — ten problem miodzi realizatorzy poruszają na przykładzie wziętym z okresu wojny domowej, z pierwszych lat młodej jeszcze Republiki Radzieckiej.

W syberyjskiej tajdze rabują i mordują, szerząc strach wśród ludności — niedobitki „białych”. Szczególnie nieuchwytną dla organów władzy radzieckiej jest banda Woroncowa — b. obszarńnik, złożona z dawnych jego chłopów pańszczyźnianych. Przypadkowo ujęto kilku bandytów. Wśród nich zwraca uwagę swoją chłopką zaciętością, ale również konsekwencją w postępowaniu smolarz Bałukin (Borys Andrejew). Dzięki szczeremu podejściu w czasie przesłuchań — udaje się młodemu funkcjonariuszowi władzy bezpieczeństwa przekonać dawnego chłopca o bezcelowości jego dotychczasowego postępowania. Bałukin postanawia

wyrwać się spod wpływu szefa bandy. Obiecuje również pomóc ująć groźnego bandytę. I rzeczywiście słowa dotrzymuje.

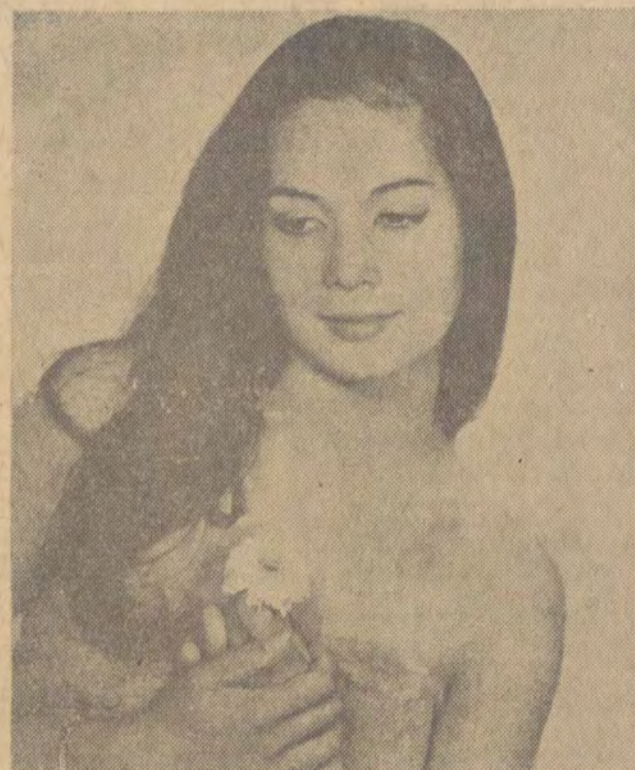
Niestety, komendant miejscowych organów władzy, kacyk i karierowicz nie dotrzyma danego słowa — i nie wybaczony win Bałukinowi. Nie dotrzyma słowa człowiek, któremu inni zaufali, a ten nałożone na niego prawo egzekwowania władzy przekształcił w osobisty przywilej, pragnąc torować sobie drogę do osobistej kariery.

Bardzo ważne zdanie pada w tym filmie — „Komunista powinien odpowiadać i za przeszłość i za przyszłość”. To motto filmu zostało wyraźnie udokumentowane postępowaniem młodych bohaterów.

Film został zrealizowany poprawnie. Rażą nas tylko pewne deklaratywne partie dialogu, stawiające tzw. „kropki nad i”. Owa deklaracyjność dialogów potęgują teatralne środki wyrazu niektórych aktorów.

Te zarzuty formalne nie dyskwalifikują jednak tego bardzo potrzebnego i prawdziwego filmu.

ALEKSANDER NIEŚMIALEK



Nancy Kwan — aktorka amerykańska



Jadwiga Andrzejewska

— Ciemno, wietrzno, deszcz pada, jakaś samotna stodola, w stodole samotna dziewczyna... Twarz wykrzywiona bólem, na czole kropelki potu, rodzi...

Gdy wreszcie na sali zapala się światło, panie pudrują dyskretnie zacierwienione od placu noski. — To najbardziej dramatyczny epizod filmu „Wyrok życia”. Grałam tam uwiedzioną dziewczynę — mówi Jadwiga Andrzejewska, niegdyś bożyszcze naszych ojców i

dziadków, pierwsza gwiazda ekranu lat międzywojennych — to był mój debiut. — A jak trafiła Pani do filmu?

— Przez teatr. Jestem dzieckiem teatru. Mój ojciec pracował jako robotnik w Teatrze Jaracza w Łodzi. Dyrektorem był wówczas Karol Adwentowicz. Podobno, gdy byłam jeszcze całkiem małą, „wypożyczano” mnie do epizodów. To właśnie Adwentowicz zwrócił na mnie uwagę. Po-

— A co potem? — Potem występowałam już bez przerwy, raz w lepszych, raz w całkiem złych,

ale zawsze były to role pokrzywdzonych dziewcząt. Potrafiłam wzruszać ponieważ wzruszałam się sama. — Mogłaby Pani wymienić kilka tytułów? — Wymienię te, które niegdyś cieszyły się największym powodzeniem. Były to m.in. „Strachy”, „Dziewczęta z Nowolipek”, „Dziewczęta nad przepaścią”, „Nasi rodzice rozchodzą się”. Po pewnym czasie zaczęłam występować w komediach. Najpierw grałam pensjonarkę w okularach w filmie „Ada to nie wypada”. Ta pensjonarka to moje drugie wcielenie filmowe. Okulary stały się nieodłącznym rekwizytem moich ról komediowych. Od roku 1933 do wybuchu wojny wystąpiłam w 15 filmach grając rolę pierwszoplanową. Potem była okupacja, emigracja i teatrzyk wojskowy w Anglii. W 1947 roku wróciłam do kraju i pozostałam w mieście rodzinnym — Łodzi. Teraz moje kontakty z filmem są dosyć luźne.

— Czy chciałaby Pani wrócić do filmu na stałe? — Nie.

— Dlaczego? — Z wielu powodów. Zresztą wolę teatr i właśnie repertuar lekki, chociaż podobno jestem urodzoną tragiczką. Ale Boy miał rację. To spała. Nie chcę już i nie mogę przeżywać swych ról na serio. Przynajmniej nie tak często. Repertuar lekki daje odprężenie, a poza tym skala środków aktorskich w teatrze typu estradowego jest szersza. Przechodzę tu od groteski do liryzmu unikając napięcia nerwowego, którego wymaga duża rola dramatyczna. Tu można spokojnie się zestarzeć.

— W okresie międzywojennym była taka modna piosenka pt. „Po prostu Jadzia”. Czy to o Pani?

— Nie o mnie. To był film ze Smosarską. Też Jadwiga. Nawet nie wiem, dlaczego ta piosenka przylgnęła właśnie do mnie. Może dlatego, że zawsze zdrobniano moje imię? Jeszcze dziś, gdy jestem na gościnnych występach w innym mieście, słyszę często, jak mówią o mnie: to przecież Jadzia. Pamiętajmy...

Pamiętamy, a jakże, i dlatego właśnie spodziewamy się, że pani Jadzia, zagra jeszcze kiedyś jakąś dużą dramatyczną rolę w filmie lub w teatrze, rolę godną jej dojrzałego talentu.

rozmawiała: T. ZWIERZCHOWSKA

Mieszanka zagraniczna • Mieszanka zagraniczna

„Ludzie w hotelu”

Sławny romans Vicki Baum p.t. „Ludzie w hotelu” — doczekał się ponownej realizacji. Film nakreślił wspólnie producenci Francji i NRF, reżyserował Niemiec, Gottfried Reinhardt.

Opowieść o śmiertelnie chorym buchalterze, który w „wielkim świecie” chce przeżyć ostatnie dni swojego życia — nakreślona była po raz pierwszy w roku 1932. Wyprodukowali film Amerykanie, reżyserował Edmund Goulding. O sukcesie filmu, poza melodramatycznym, chwytliwym tematem — zdecydowała „bombowa” obsada aktorska. Główne role grali wówczas: Greta Garbo, Lionel Barrymore, Wallace Beery, Joan Crawford.

„Ludzie w hotelu” — z roku 1959 — to także film gwiazd. Rolę chorego buchaltera Kringeleina kreuje Heinz Rühmann (niezapomniany „Kapitan z Köpenick”). Następczynią Greta Garbo jest znakomita aktorka francuska Michele Morgan (na zdjęciu obok). Ponadto występuje w filmie ulubiony zachodniemiecki amator O. W. Fischer — i znana dobrze u nas Sonia Ziemann.

Film... z Ankiety

Na niecodzienny pomysł wcielił scenarzyści francuscy: postanowili mianowicie zrealizować film fabularny na podstawie wyników ankiety p.t. „Francuzka a miłość”. Bedzie to film typu nowelowego, ukazujący różne postawy kobiet francuskich wobec tego odwiecznego problemu. Jedną z nowel kręcił znany reżyser Jean-Paul Le Chanois, grają w niej Martin Carol i Robert Lamoureux.



Wieści z ZSRR

Jak należało się spodziewać, o bohaterstwie czwórce rozbitków z Oceanu Spokojnego — zostanie nakręcony film. Realizacji podjął się wybitny reżyser Michał Romm.

Wszedł na ekrany dwuseryjny film wg. „Zoranego ugoru” Michała Szolochowa. Wbiew oczekiwaniom sprawił on pewien zawód widzom, nadmiernie przeciągnięty, zbyt ilustracyjny.

Reżyser Iwan Pyriew, który specjalizuje się w adaptacjach z Dostojewskiego — przedstawił ostatnio swój nowy film — „Białe noce”. W porównaniu z włoską wersją reż. Luchino Viscentiego z Marią Schell w roli Nastiełki — adaptacja radziecka jest mniej estetyzująca i bliższa klimatowi powieści wielkiego pisarza. Niepospolitym talentem blęsnął ponownie Oleg Striżenow w roli Meryciela, natomiast nie dorównuje zupełnie Marii Schell — Ludmiła Marzenko. Tak przynajmniej twierdzi krytyka radziecka.

HITCHCOCK SZARPIE NERWY



Podobno przeszedł samego siebie słynny reżyser amerykański Alfred Hitchcock. Chodzi o tworzenie w filmie przeraźliwego napięcia, szarpnięcia nerwami widzów...

Do Europy dotarł ostatnio najnowszy jego film „North by North-West”. (Północ — północny-zachód) — w którym Hitchcock odszedł wyraźnie od uprawianej przez siebie pewnej kameralności, statyczności akcji — ze wspomnianym tylko „Okno na podwórce”. Tu — akcja aż kipi, przenosi się z jednego końca Stanów na drugi, krzyżując się różne wątki, pojawiają się ciągle nowe postaci, coraz bardziej podejrzane.

„North by North-West” zapewne nieprędko dotrze na nasze ekrany. Na razie więc zadowolimy się innym filmem Hitchcocka „Kto zabił Harrego?” — o który ponoć toczą się petrakcje.

Powyżej — podobizna mistrza „kryminalów”. Któż by przypuszczał, że ten usmiechnięty, dobroduszny pan — tak bardzo lubi opowiadać o zbrodniach?



„Z uznaniem przeczytałem felieton „Kolorowym atramentem”, na temat uzupełnienia naszego repertuaru starymi filmami. Czy nie należało by też pomyśleć np. o sprowadzeniu do Polski filmu Disneya „Królewna Śnieżka”? W wymienionej przez Was niedawno liście kupionych filmów Disneya — tego tytułu brak. A szkoda — bo przecież młode pokolenie zupełnie tego filmu nie zna. I tak mało mamy w ogóle na ekranach pozycji dla dzieci i młodzieży...”

(P. G. — Wieluń)

„Do wspomnianej w felietonie „Kolorowym atramentem” listy kłozów, obrzydliwych melodramatów — zupełnie niepotrzebnie sprowadzonych do Polski — trzeba koniecznie dodać okropny szwedzki film „Pieśń purpurowego kwiatu”...

(M. Kowalczyk — Łódź)



„Zauważyłem, że od pewnego czasu drukujecie w „Mieszance” tylko zdjęcia aktorek. Chcę powiedzieć, że dział filmowy czyta również sporo kobiet, które chciałyby także oglądać foty popularnych aktorów...”

(Janina Wąs — Łódź)

Za tydzień w „MIESZANCE”:

KORESPONDENCJA Z PARYŻA

WŁODZIMIERZA KRYSINSKIEGO

